



ANTONI MALCZEWSKI

† 2 maja. 1826 r.

ANTONI

MALCZEWSKI,

JEGO

ŻYWOT I PISMA

OZDOBIONE POPIERSIEM

WYDAŁ

AUGUST BIELOWSKI.

LWÓW, STANISŁAWÓW I TARNÓW.

NAKŁAD JANA MILIKOWSKIEGO.

1843.

Przemowa.

Mimo kilkokrotnych przedrukow **M a r i i** i reszty pism Malczewskiego czujemy potrzebę nowego ich wydania, bo dawniejsze nie według życzenia nakładnika wypadły; bo nastręcza się sposobność uiszczenia się z dawniejszych przyrzeczeń, bo wreszcie czytająca publiczność coraz więcej upodobania w pismiennictwie nachodząc, domaga się liczniejszych, niż to dotąd z polskiemi xiążkami było, i coraz dokładniejszych wydań wzorowych pisarzów. Temu wszystkiemu zadość uczynić spodziewamy się wydaniem niniejszem, na którego czele popiersie Antoniego Malczewskiego, zdjęte z oryginału robionego w młodym wieku tego ukraińskiego piewcy, a udzielonego nam przez bliskiego jego krewnego, umieszczamy.

Nie zaniedbaliśmy żadnej sposobności w zasiąganiu szczegółów tyczących życia lub też pism Malczewskiego. Lekkie zmiany jakieśmy porobili we względzie pierwszym, łatwo czytelnik dostrzeże,

co się zaś tyczy pism samych, pomimo licznych odezw zrobionych w tym celu do różnych osób, skutek nieodpowiedział naszym oczekiwaniom.

W pismie Dniestrzanka, wydanym przez Stanisława Jaszowskiego, umieszczono wiersz pod napisem: relikwia po Antonim Malczewskim, z doniesieniem że tenże mieszkał na Wołyniu, w Dobraczynie. Zasiągnąwszy o tem wiadomósci z samego źródła, możemy zapewnić, że Malczewski nigdy w Dobraczynie nie mieszkał; ale byłto nasz tłumacz Moliera, a niepospolity fajkarz, Franciszek Kowalski który, mieszkając tam dość długo, w chwili wesołej wypalił ów wiersz humorystyczny o fajce do p. Zimermana.

Ograniczamy się więc w niniejszem wydaniu na powieści ukraińskiej Maria i tych pismach któreśmy już dawniej, bądź jako mające związek z ową powieścią, bądź jako rzucające światło na młodocianą uprawę samego pisarza, za stosowne do umieszczenia uznali, albowiem wszelkie inne dodatki jakie się nam dotychczas pod rękę nawinęły, częścią przypisowane mu są fałszywie, częścią też niemające żadnej wartości i tylko powiększyłyby niepotrzebnie objętość xiążki.

Lwów 25 kwietnia 1842.

ANTONI MALCZEWSKI.

Ż Y W O T

ATONIEGO MALCZEWSKIEGO.

Zajmujące jest pasmo przejawień, jakie całkowity żywot znakomitego pisarza oczom naszym przedstawia. Jednym z takowych jest Antoni Malczewski. Zapatrując się na wszystko, cokolwiek był jego stanowi, jak na nierozdzielną całość, kreślimy jego życie, które nam nie jedną stronę pism jego wyjaśni, a razem kolej, jaką dotąd te pisma w oczach naszych odbyły.

Był on starszym synem Jana, jenerała wojsk polskich, i Konstancii z Błeszyńskich. Urodził się około roku 1792 na Wołyniu. Radziwiłłów, Kniahinin, Miropol i Chodźcza były własnością jego rodziców, którzy poźniej mieszkali w Dubnie. Tu pobierał Antoni pierwsze swoje nauki. Wychowanie wówczas, jakto w części i teraz, było w całej Polsce cudzoziemskie Głuszyła wszelki dźwięk inny francuzczyzna, a w stanie, do którego on należał, przesadzano się w

tem szczególniej. Ztąd poszło, że Antoni mówiąc a nawet pisząc językiem obcym, polskiego do lat poźnych nieumiał. W Krzemieńcu pobierał nauki dalsze. Przy pięknej powierzchowności, która wpływ najszkodliwszy na całe życie jego wywarła, okazał wcześnie wysokie zdolności umysłowe i chęć do nauk. Matematyki słuchał pod Józefem Czechem i znaczne w niej czynił postępy, jakby przeczuwając najbliższą swoją przyszłość. Lubił rysunki i chętnie im wolne chwile poświęcał. Założyciel szkół krzemienieckich, poźniej ich wizytator, Tadeusz Czacki przebywał często w domu jego rodziców, a młody Antoni był jego polubieńcem. Zamiłowanie tego męża w kraju i naukach, a bardziej jeszcze religijna fantastyczność, jaka szczególniej ostatnie lata jego cechowała, odbiła się żywo, acz poźno w Malczewskim.

Zawód wojskowy, w który ze szkoł się rzucił, rozjaśnia jakby czarodziejskie światło, namiętna ku swojej stryjecznej siostrze Annie miłość. Byłyto lata wielkiej sławy i wielkich nadziei 1811 i 1812. Wstępując jako ochotnik w szeregi wojska polskiego, tuszył zarazem usunąć trudność z nierówności majątków wynikającą, i zapomocą dobrze łożonych zasług otrzymać rękę Anny. Ileż powodów

do oddania się temu zawodowi z całą duszą. Wiadomości matematyczne, które dawniej tyle lubił, były mu teraz wielce przydatne, i łatwo uwierzyć, iż w ciągu tych lat kilku odznaczał się jako zdatny oficer inżynierii pod pułkownikiem Maletem, poźniejszym jenerałem Maleckim; są nawet ślady iż pisał w tym przedmiocie*). Zawiedzione w skutku tak rojenia osobiste, jak i nadzieje narodu, ścisnęły młody jego umysł i rzuciły nań to pasmo głębokiej melancholii, jaka jego utwory cechuje. Osoba którą kochał, poszła za obywatela majętnego, z ktorym się poźniej rozwiodła; Antoni stojąc przez czas kampanii roku 1812 załogą w Modlinie, znajdował się ze zmianą stosunków politycznych w orszaku cesarza Alexandra; aż złamawszy nogę przypadkiem, wystąpił w roku 1816 z wojska.

Pięć lat następnych wiąże się ściślej z zawodem jego piśmienniczym. Znagliły one rozwinięcie jego

*) Zapewniał mię jeden z bliskich krewnych Antoniego Malczewskiego, od którego mam większą część niniejszych wiadomości, iż czytał kilkoćwiartkową broszurkę drukowaną w Warszawie, zawierającą zdanie o projekcie nowego umocnienia twierdzy Modlina, rzuconym przez tegoż pisarza.

zdolności, i przygotowały dlań to miejsce które obecnie jako pisarz zajmuje. Umysł skołatany długiem niepowodzeniem szukał rozerwania w podróżach. Szwajcaria, Włochy i Francia, które kolejno zwiedzał, dostarczały mu przedmiotów godnych wysokiego zajęcia. Do miejsc i zdarzeń, jakie go teraz uderzały, żył w jego duszy czarowny odcień: zdarzenia i okolice ojczyste, poznane w młodszych, szczęśliwszych leciech. Z ostrością szczytów alpejskich, i zacisznością ich dolin, złożył się w dziwne przeciwieństwo step rozłożysty Ukrainy, po którym wiatr, jak niekiełznany tabuniec w ustawnych pląsach poryża. W tymże samym odblasku stanęły obok siebie tych krain ludy i ich czyny, których nieobecność czyniła je sercu droższymi. Przyrodzie i dziejom potrzebna do wykazania wdzięków stosunkowa odległość, perspektywa. Uczucia, jakich w ciągu tego czasu doznawał, były zarodem piękności, które w Marii tak świetnie rozwinął. Szacowną z tego okresu pamiątką jest podróż jego na górębiałą (*Montblanc*) opisaną w liście de profesora Picteta, którą czytelnik na czele drobnych pism jego znajdzie. Pisana była w języku francuskim, i umieszczona w piśmie czasowem: *Bibliothèque universelle.* Z dopisku redaktorów tego pisma widać, że

Malczewski przewodniczył biegłemu rysownikowi, którego nazwiska niewymieniono, w odrysowaniu góry-białej i sterty-południowej. W latach 1820 i 1821 pokazało się w ***Rozmaitościach lwowskich*** kilka powiastek prozą, tudzież drobnych wierszów jego które do lat najwcześniejszych jego pisarskiego zawodu odnieść można. Umieszczamy je jako pierwiastkowe płody wielkiego pisarza, mogące wyjaśnić kolej jaką umysł jego przechodził, i wykazać trudności, jakie pokonać musiał, nim zajął stopień swojej najwyższej uprawy. O innych pracach jego z tego czasu wiemy tylko z podania. Ci co je w rękopisie czytali, zapewniają o niewielkiej ich wartości. Tu należą listy wierszem i prozą na wzór Krasickiego; satyra: karnawał warszawski; tudzież parę aktów nieukończonej tragedii pod napisem Helena, ułożonej na sposób Barbary Felińskiego. Wymowa nieposlednia, i powierzchowna wierszów ogłada miały ją wielce przybliżać do swego wzoru.

Następuje okres z kolei ostatni, krótki i nieobfitujący wcale w zdarzenia nadzwyczajne, cichy i skromny jak wszystko w czemkolwiek piękne i wzniosłe dojrzewa, a w istocie największy — w nim-to utworzył Marię. Przypomnijmy kilka szczegółów

z jego życia dotychczasowego, aby obaczyć wypadki lat następnych we właściwem ich świetle. Wydalenie z ojczyzny zrodziło namiętną ku niej tęsknicę, a widok tylu różnolicowych krain odcieniował dokładnie jej rysy. Jednocześnie odżywały w jego piersi jej dzieje, które weń Czacki pismami teraz, jak niegdyś usty przelewał. Rozpusta i zbytki wielkiego świata, któremu zanadto hołdował, nauczyły go cenić stan niewyrodny, i obudziły żądzę zbliżenia się ku niemu. Otarcie się w pismiennictwie wniosło też zmianę w świat jego umysłowy. Fizycznie więc i pismiennie zbliżał się ku temu przesileniu, po którem zwykle czerstwiejsze życie zakwita. Tak usposobiony wraca około roku 1821 do Warszawy. Po krótkim tamże pobycie udaje się na Wołyń, bierze dzierzawą wioskę w powiecie włodzimirskim, podobno Hrynów, a unikając hucznych zabaw i licznych towarzystw, pragnie przeważniej niż dotąd oddać się pismiennictwu. Właśnie podtenczas wychodził szacowny zbiór pamiętników Niemcewicza, pisarza lubionego i cenionego wielce od Malczewskiego. Wpatrowanie się w nich nasuwało mu niejeden pomysł ku nowej pracy. Tuż obok niego leżał przedmiot godzien swoją osobliwością zająć najmocniej jego umysł. Krążyła na Wołyniu jak i po całej Polsce

wieść o losie Gertrudy Komorowskiej. Słyszał ją nieraz w dzieciństwie. Z niej snował teraz swoją powieść ukraińską, naginając prawdziwe zdarzenie ku uprzednio polubionym miejscom i czasom. O tem zdarzeniu zdarza się niekiedy w pismach publicznych czytać fałszywe, lub duchem stronniczym nacechowane wiadomości*). Są którzy pamiętają jeszcze osoby, mające czynny w niem udział. Dwa dokumenta spółczesne, jako przypisy do Marii włączone, wykażą całe to zdarzenie w swojej prawdziwości. Rozsądny czytelnik potrafi rozróżnić złość lub obłędy osób pojedynczych od cnót i działań narodu, a w przytoczonych wypadkach zechce widzieć źródło odbijające wiernie swój wiek i ludzi; nie mętną kałuż do czerpania ohydnych potwarzy. Już jako podstawa powieści, która do głównych ozdób pismiennictwa polskiego należy, są te wypadki wielce ciekawe; rozświecają przytem stronę jej organizacijną i nasuwają narodowemu umnikowi niejeden rys godzien najznakomitszego pęzla, od Malczewskiego niepostrzeżony, lub niewchodzący w skład jego tworu. W czasie tej pracy bywał nasz poeta w domu jednego ze swoich znajomych, a podobno i krewnych: podsędka

*) Tu należy dzieło *Briefe über Galizien. Wien* 1786. 2 *Bände.*

Ruczyńskiego. Młoda i miła Pani R* zachorowała niebezpiecznie. Malczewski został lekarzem. Zapomocą magnetyzowania udało mu się przywrócić jej zdrowie. Żywą była wdzięczność uzdrowionej. Niebawem urosła ona w tak gwałtowną namiętność, że skłopotany małżonek bojąc się wystawić na szwank nowy zdrowia żony którą kochał, i przekonawszy się że jej szczęście nie od niego zawisło, odał ją jej lekarzowi. Rozkochani udali się do Warszawy. Tu żyli czas niejaki śród rozmaitych scen i przygód miłośnych. Niedostatek dawał się uczuć coraz mocniej Malczewskiemu, ztąd wypływały po większej części jego zmartwienia. W takich okolicznościach wyszła roku 1825 jego Maria. W kilka miesięcy poźniej dnia 2 maja 1826 umarł na raka, który od niejakiego czasu uformował się w jego wnętrznościach, a następnemi zgryzotami dojrzał. Czas niejaki przed śmiercią zostawał dla niemożności zapłacenia pomieszkania na łasce burgrabiego pałacu Kossowskich*), ktoremu dostały się po nim jego pisma. Między temi miała być powieść: S a m u e l Z b o r o w s k i, już po M a r i i pisana, i zapewne nie małej wartości.

*) Zkądinnąd miałem wiadomość, że Malczewski umarł w Warszawie w domu Brzostowskich, z którymi go ścisła przyjaźń łączyła.

Ci, co go znali osobiście, unoszą się nad piękną jego powierzchownością, znakomitem ukształceniem umysłu; zarzucają zbytek francuskiej salonowości, tak niegodnej wyższego męża, i jej skutek: ciągłe, niezawsze godziwe miłostki; a zato uwielbiają lekceważenie ziemskich interesów, gdzie chodziło o wsparcie potrzebującego, nawet z narażeniem jedynego szczupłego majątku.

Takie było życie Malczewskiego. Widzieliśmy je w czterech odmiennych kolejach. Uczeń, wojownik, podróżnik i piewca, odznaczył swój ziemski pojaw tym szybkim i nieobliczonym chodem, jaki w obiegu ciał niebieskich wszelką niepospolitość cechuje. Mając je w oku, przebieżmy teraz koleje Marii, tego najznamienitszego odłamka jego duszy. Los jej wiąże się ściśle z postępem krytyki u nas, i rozpatrując się w nim ujrzymy zarazem w krótkości dziesięcioletnie jej dzieje.

Za życia autora pisano szeroko o Marii*). Krytyk upatrzył dwie główne wady w Malczewskim: g u s t n i e u k s z t a ł c o n y, i k r z y w e p o j ę c i e p o e z i i; kończy bowiem swoją recenzię temi sło-

*) Obacz Bibliotekę polską, pamiętnik umiejętnościom, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony. Tom IV, październik, listopad, grudzień. Warszawa 1825.

wy: „Tak więc Maria pomimo wszystkich błędów swoich, wskazuje nam, że jej autor może powiększyć szczupłe grono naszych oryginalnych pisarzy, jeżeli przy zdolnościach jakie posiada, ukształci swój gust i sprostuje swoje pojęcie o poezii, z którego, jak nam się zdaje, wypłynęły po większej części wady jego utworu.

Co krytyk przez gust nieukształcony rozumiał, widzieć to można z całej stronicy przytoczonych wyrażeń, które go, jak powiada, gminnością i niewłaściwością rażą. Obaczmy je bliżej:

Jeszcze stuk chodu słychać, lub ciężkie westchnienia
W przerwanem tępotaniu wracają sklepienia.
Prychają rącze konie.
A na ich bystrych oczach siedziało zwycięztwo.
Włóczy się wzrok w przestrzeni.
Słońce świeci zkosa.
I cicho, tylko jakaś w powietrzu rozterka.
Imię ojczyzny....
Czystym gorzało ogniem, a serce, jak w wiosnie
Ptak do słońca, do niego skakało radosnie.
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła;
I zgasła, i swym dymem całą twarz zaćmiła.
Kozak swe członki wędził na stepowym wietrze.
Spiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kapać swe oczy —
Targa kłaczystą brodę i t. d.

Przy niektórych wierszach załączone są poprawki. Malczewski mówi, że przy zachodzie słońca:

szarzały wszystkie farby.

(Krytyk.) »Czemuż niepowiedziano: ciemniała barwa przedmiotów? *)

Niewiadomo jakie wrażenie zrobił ten rozbiór na nieszczęśliwym autorze; to tylko pewna, że się nie spieszył z wydaniem Samuela Zborowskiego, a publiczność z rozkupieniem Marii.

W trzy lata poźniej zdrowsze, światlejsze zdania znalazły organ publiczny. Jakaś gwałtowność podobna wyzwalającym się wodom wiosennym, lub gwałtowności wiatrów na zwrocie dyszy z owego okresu. Przemówił w dzienniku Ordyńca 1828 roku Michał Grabowski. Ciąg dalszy jego „Myśli o literaturze polskiej" w ktorym mówi szczegółowo o Marii, nie był drukowany. Z kilku napomknień we wstępie widać, jak wysoko ją cenił. Co Grabowski

*) Ciekawy jest ułamek teorii owczesnej w tym rozbiorze. »Korsarz i Lara (Byrona) powiada krytyk, przestępują w części prawidła z natury rzeczy wywiedzione, a które wymagają, aby każde zdarzenie wystawić jasno, porządnie, wykazać mu sprężyny działania czyto przyrodzone, czy nadprzyrodzone, albo tak rzecz swoją ułożyć, aby ją czytelnik bez mozołu odgadnął; aby rozstrzygnąć nareszcie los działających osób.»

napomknął, rozwinął wkrótce Mochnaki. Przedewszystkiem należało przywrócić cześć zmarłemu, i pomścić niejako wyrządzoną mu krzywdę. Ztąd wszystkie ich myśli krążą przy stronie dobrej, przy zaletach tej powieści. Wszystko, cokolwiek najtrafniejszego w tej mierze powiedziano, co częścią wsiąkło już w zdanie ogółu, lub dotąd w pismach czasowych obiega, spowodowali lub rozjaśnili ci dwaj pisarze.

Z początkiem roku 1833 dwa nakłady Marii jednocześnie we Lwowie przedsięwzięte wskazały jak wielka jest jej między czytającymi potrzeba. Przy jednem z tych wydań pokazała się po raz pierwszy wiadomość o życiu Malczewskiego. Kilka szczegółowych uwag nad powieścią, napomykają o stronie dotąd nietkniętej. Z jej rozpowszechnieniem obejrzano ją wszechstronnie, a równoczesne przekłady na język niemiecki i francuski ztwierdziły sposobem niewątpliwym jej wartość, i są najwymowniejszą pochwałą jej twórcy. Szczególniej piękny jest wstęp francuskiego tłumacza p. *Clémence Robert* w którym mówi o Marii i Zamku kaniowskim. Wydał on razem obie te powieści pod napisem „*Les Ukrainiennes*" z objaśnieniami stosownemi dla cudzoziemców.

Niemałą zasługę położyli wydawcy powszechnego

pamiętnika nauk i umiejętności w roku 1835 przez podźwignienie krytyki. W artykule na czele tego pisma umieszczonym przebiega jeden z najznakomitszych pisarzy cały przestwór nowoczesnej poezii polskiej i jej twórców. W skupieniu i porządkowaniu różnorodnych jej części wyjrzały i odznaczyły się dobitnie znamiona, jakich w zapatrowaniu się na pojedyncze utwory niepostrzegano. Z głębokiego w nie wpatrzenia i przeświadczenia się o ich istocie wypływa owa moc i dobitność z jaką ten pisarz w brew istniejącym zdaniom sąd swój ogłasza. Wyszczególnia go od poprzedników usilna oględność w wyjaśnianiu złej strony, w nowszem pismiennictwie dotąd prawie zupełnie przemilczanej, bez której krytyka staje się zbiorem czczych pochwał, i jest najlepszym środkiem uspienia wszelkiego postępu. Posłuchajmy, co mówi o tej powieści: »Nieznany był literackiej krainie pisarz Marii, Antoni Malczewski przed jej wydrukowaniem, nieznany był długo i po wydrukowaniu. W lat kilka dopiero, dopiero po jego śmierci podniesiono chwałę tego dzieła. Za przysadą w naganach poszło uniesienie chwalców; każdą tam niemal piękność równoważy niedostatek. Jeżeli przedmiot wzięty jest z wydarzenia narodowego, to główny pomysł nic oryginalnego niema. Oprócz katastrofy

przypominającej mimowolnie poemata poety-lorda, ów paź tajemniczy, ów Wacław-graf nie polski nie samym tylko tytułem, owa nawet Maria deklamująca jak królowa francuskoklasycznej tragedii nie są osobami poematu oryginalnego, a tem bardziej narodowego. Utrzymały i utrzymują to dzieło na stopniu wysokiej zasługi, widmo, że tak powiem, wojewody, ideał polskiego arystokraty; miecznik ojciec Marii, ideał polskiego szlachcica; myśl napadu Tatarów wydobyta z serca dziejów polskich; obrazy Ukrainy nadbohskiej; wtórujące im uczucia, i mistrzowskie, wyprowadzanie w dotykalnych niemal postaciach najgłębszych uczuć, z najulotniejszemi ich odcieniami. Język Malczewskiego odpowiedni jest myślom w niektórych częściach poematu, jak na przykład w ustach miecznika, niekiedy w ustach Marii; taki jednak, jaki jest w ogóle poematu, niemoże być podany za wzór polszczyzny, pomimo twierdzenia niektórych jego wielbicieli. Jestto wprawdzie język polaka, ale polaka który dla obcej mowy wyrzekł się na długo swojej; postrzegł się poźniej, i zaczął się jej uczyć na zygmuntowskich pisarzach, a co jeszcze mędrsza, na potocznej mowie ludu, i dla dowiedzenia się, jak daleko w zaczętej nauce postąpił, odważył się po polsku napisać, i tę niejako próbkę oddał pod

sąd publiczności. Tak mi się wydaje polski język Malczewskiego, owoc i dowód wielkiego usiłowania. Cudzoziemskie Malczewskiego nałogi, jego całe życie, przybywają na poparcie moich domysłów. Z temwszystkiem godzi się położyć Marię między dziełami, jeżeli nie zupełnie narodowemi, to zbliżającemi nas wielkim krokiem do czystopolskiej literatury.»

Zdarzeniem tedy osobliwszem dotychczasowe losy Marii złożyły się w dziwną zgodność z koleją życia jej twórcy, brzmiąc jakby dźwiękiem wtórowym, i stanowiąc jeden z nią wyraz.

Obce, przesądne wychowanie, ciężące w latach dziecinnych swojskiemu rozwinięciu wysokich Malczewskiego zdolności, powtórzyło się w szkolnictwie opacznego sądu o Marii w pierwszem jej pojawieniu. Świetność zawodu w drugim okresie, gwałtownem przejściem i jakby wyzwoleniem się nacechowana, odbiła się w świetnem wyzwoleniu krytyki i ocenieniu Marii. Duch jaki się w pismach z tego okresu przebija jest tak wielki, jak wielkie życie lat owych które Malczewskiego w odmęt walk i wypadków rzuciły. Okres mnożących się wydań i przekładów Marii jakże podobny okresowi kilkoletnich podróży, któryśmy przygotowawczym w zawodzie pismienniczym uznali. Zdaje się jakoby duch Malczewskiego

zerwał się wówczas raz jeszcze, przelecieć szlaki w które się puścił śmiały podróżnik, szukając w wyżynach zachodniej Europy godnego siebie zajęcia.

W ostatnich czasach zapatrowanie się na Marię odznacza się tym rzeczywistym użytkiem, jaki przewodniczył Malczewskiemu w ostatnich jego pracach, i tą względnością na postęp, jaki wyszczególnia Marię, tak wrzędzie tworów tego pisarza, jak i w ogóle dzieł równoczesnych. Sąd ten ostatni uzupełnia to, na czem w dotychczasowych wyjaśnieniach zbywało, i zasługuje pod tym względem na szczególniejszą uwagę.

Odróżnić w zdaniach pojedynczych mniejszą lub większą trafność postrzeżeń; ująć z dotychczasowych pochwał, cokolwiek w nich przysadnego znaleźć się może; złagodzić nagan surowość bacznem zwalczonych przeszkód rozważeniem; wydać nareszcie światły i ostateczny wyrok, należy do ogółu narodu; jak do ogółu pisarzów narodowych, zapomocą spólnych usiłowań, posuwać pismiennictwo polskie ku coraz wyższej doskonałości, z owego stanowiska, na które je pojedyncze usiłowania Antoniego Malczewskiego tak chlubnie wzniosły.

Lwów, 24 marca 1837.

A. B.

MARIA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czy zacczył zająca co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się wzawody?
Lub może do swej lubej co czeka śród niwy,
Nucąc żałośną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;
Gdy koń, co jak ty, dziki lecz posłuszny żyję.
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.

Umykaj czarnomorcu z swą mażą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno co każdegno witasz,
I krążyz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca —
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk zpod trawy
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka, dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa;
A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie ([1]), i głębokie jary
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,

Bo pod nią już od dawna upior pochowany).
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rzeski, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parschnął, i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach śrebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje,
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie,
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza,
A step, koń, kozak, ciemność, jedna dzika dusza.
O! ktoż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze! pospiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał, i bardzo łaskawie;
A jednak, żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,

I łzy czułej rozpaczy i pychy zapału
Płynęły często, gorzko, ale bez podziału.
Już inaczej w tym zamku, znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadow spaniałość;
Już śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty, długo niewidziany
Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić,
Zdawał się więcej synem, niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię,
Świetna mowa, dla ludzi, imię znakomite;
Co w sobie to na zawsze dla wszystkich ukryte.
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłem wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu,
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie, uśmiech igrał na poważnej twarzy;
A w oczach się mignęła szybka, dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę, choćby na mrowisku.
Spocznie? oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do poźnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały;
Do poźnej nocy trąby i wiwaty grzmiały;
Dawny wrócił obyczaj, spaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od śrebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty,
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodią przebiła się czasem.
Do poźnej nocy twarze ostre, malowane,
Pzodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących, i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość, w oczach myśl zgadnienia,
W głębito, w głębi serca robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I pycha i pochlebstwo śmieją się, nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku, bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; sen szczęście osłania,
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze, w bocznem skrzydle obszernej budowy,

Gdzie dzielny wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska;
Jeszcze stuk chodu słychać, lub ciężkie westchnienia
W przerwanem tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy,
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy,
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłej niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jej czarnem tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
Krwawej, zgubnej przyjaźni, lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wąskie okno, patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanej zbierały wyprawy;
Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy:
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce, w różowej pościeli,
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem

W lśniącej stali swę wdzięki postrzega z zdwiwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej, słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie;
Nie dla niego! on nie chciał widoku zostać,
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy, poranek rozprasza.

VII.

Dano znak, wrzasły trąby, szczęknęły podkowy,
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje, i szybkim obrotem,
W ciasną, gotycką bramę suną sie z łoskotem.
Zagrzmiała długiem echem do sklepienia drząca,
Aż łagodniejszą ziemię, lżej kopyto trąca;
I ciszej, ciszej brzęcząc, już słabo, zdaleka,
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka.
Dopieroto na polu, gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce, bujają wesoło;

I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało zwycięztwo,
A na ich serc opoce kwitły wierność, męztwo;
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec,
Lecz ktoż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chce cienić włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem, natury obrazy,
I słodszy i jaśniejszy od chwały połysku,
Ten blask, co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia
Z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia ([2]).
Na lotnym jechał koniu, i nad jarów brzegi,
Poprowadził w porządku milczące szeregi,
Znikli w zarosłą przepaść, aż krążąc parowy,
Jeszcze raz, świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem,
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola; znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze.
Włóczy się wzrok w przestrzeni; lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce zkosa świeci,
Czasem krącząc, i wrona i cień jej przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaćwierka,
I głucho, tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie! chyba, lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzwiałe leżą,
I kości, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozlęgłe w świeżem jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rozpacz, bez przytułku, bez celu, bez granic.

IX.

Pod staremi lipami miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary:

Chociaż ten czarny żupan, smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyznie,
Ojczyznie! której imię śród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem, a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał, ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął,
Dumał, i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącej sromoty;
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potym? dumał miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci, gniewu, a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta, czemuż kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubior udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem: uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, wpośród gęstych cieni,

Jaka myśl czy pamiątka, jej lica zrumieni,
To tak mdłem, bladem światłem, jak gdy xiężyc w pełni
Niezwykłem życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać, do aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień,
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza
Podobna do owoców umarłego morza ([3]),
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, znajduje popioły.
Jakaś posępna słodycz w jej każdem ruszeniu;
Ani łzy, ani żalu, w jej mglistem spojrzeniu;
O nie! przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
I zgasła, i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad xięgą żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi,

Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
Aże nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory (*),
I drzy nić którą serce do nieba związane,
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu,
I wznosząc w górę oczy, doznała, jak lubo,
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate, starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie,
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy dzewiną,

Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną:
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał też samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
Też zamie zawsze troski wygnańca, człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko w tenczas błogo, gdy westchnie do nieba!

XII.

»Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
»Obłąkałam się dzisiaj, a na twojem czole
»Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
»A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
»Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
»Błyśnie, i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
»Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa?
»Tu, na łonie; nie bój się, teraz żal nie spływa,
»Jak wtedy coś w mych rękach usnął zmordowany
»I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
»Sroga nieszczęść igraszka, i tak zżółkły parość
»Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
»I tak zaparte czucia długiem uciśnieniem,
»Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
»Ah! jakżeto boleśnie nazad się obrócić,
»Widzieć rozpacz grożącą, i niemódz się wrócić!

»Ah! jakżeto okropnie w przymusie zostawać,
»Ręką co chce lekarstwo, truciznę podawać!
»Ojcze! drogi mój ojcze! czy już żadnej chwili,
»Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
»Gorzka jej była dola, ale to już przeszło!
»Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło,
»I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej,
»I twój pragnie obudzić, jak w szczęściu, jak dawniej!
»Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
»Tak lube! tak ulotne! i mojego tata
»Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
»Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa;
»I wciska mu się w serce, powoli, nieznacznie,
»Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie.
»I gdzieżto się podziała tej dziewczynki władza?
»Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza;
»I gdzieżto żywy, czysty strumyczek upłynął?
»Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
»A nasz śliczny kanarek gdzieżto się obraca?
»Chiał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
»O! póki ten co w mojem na zawsze był sercu,
»Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu,
»O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
»Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,

»W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
»Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
»Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
»Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uspienia,
»Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
»Zostawił łzę wdzięczności której czas nie zmiecie,
»O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
»Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy;
»Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
»A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
»Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
»Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
»Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
»I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
»I tę straszną ofiarę, i to rozdzielenie,
»Zniosę, cierpliwie zniosę, póki nasze cienie
»W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
»Ludzi już nie zobaczą lecz niebo łaskawsze!»
Rzekła, i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadłe na spodzie,
Z serca jej wyszły czucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.

»Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
»Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
»Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
»Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby:
»Albożto naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
»Coto pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
»I tak jak dawniej było, rycerskie kolano
»Raz w życiu tylko ugiąć, po wianek, za wiano!
»Nie, Mario! nie trza wzdychać, twego nie obrażam;
»Mężny jest i cnotliwy, wiesz że go poważam;
»Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi,
»A kiedy łzami Marii swoje serce żywi,
»Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
»I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem (5).
»Tażto u naszej szlachty dawne przywileje,
»Skrzesać ognia w pałasze gdy przyjaźń zciemnieje.
»Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
»A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
»I gdyby kraju napaść, z hetmanem umowy,
»Nie rzuciły mnie w ówczas Szwedowi na głowy;
»I gdyby twoja matka, (daj jej niebo panie!)
»W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie;
»A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem,

»Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem,
»Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
»Anibym jego złości dozwolił grasować.
»Bo cożto ja zastałem? żonę zmiotła kosa,
»A córę, szczep jedyny, z łez polewa rosa.
»Dla starej karabeli zbytto wielkie dziwy,
»Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
»Albož choć raz do serca me dziecię przytulił?
»Albož młodością, wdziękiem, choć raz się rozczulił?
»Nie! od domu, imienia, ze wzgardą odgania;
»I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
»O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże,
»Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę;
»Choć może mniejsi w liczbie, boga w pomoc wezwą,
»To w końcu tej tam waśni dzwony się odezwą!"
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa;
Skądto kozak przypędził ze taka kurzawa?
I zsiada, i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie,

Prosty był jego ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany, lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącej go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka, za każdem ruszeniem,
Miga gdyby chorągiew czerwonym płomieniem,
Pomiędzy chwast, zarośle, gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu,
Aż przed pana miecznika stawi się z orszakiem;
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
»Czy masz pismo?” — „Jest panie! i jeszcze list wczora
»Oddałby nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
»Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,
»To żeby was z jejmością bóg od złego zbawiał.” —
»Że wasze mi z listami spoźnił się, to gorzej:
»Czyj kozak co sie diabłów albo ludzi trwoży?”
—»Albož wam nie świadoma krasnych czapek sława,
»Co z rodu panom wierna? — czyj? — grafa Wacława.”
Czyta miecznik, gdy w Marii ocknionem wejrzeniu,
Nie czcza tylko ciekawość, życie w przesileniu;

Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jej lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem, jak suchot kolory.
»O kozaku i koniu niech mają staranie!
»Ja w raz listy odpisze, waszeć czekaj na nie.”
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne, czarne oczy spojrzał rozczulony,
Skłonił nisko ichmościom, i cobądź się zdarzy
Kozak z służbą odchodząc, wesoło im gwarzy.

XIV.

»Niechaj kto z ludzi zgadnie! jeśli to nie zdrada,
»To mojej biednej Marii radość zapowiada.
»Pisze mi wojewoda w cukrowych wyrazach,
»Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;
»Że żałuje za grzechy, nie tylko ogłasza
»Swój affekt dla synowej, ale w dom zaprasza;
»Więcej jeszcze! takiego jak mówi zamęścia
»Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia;
»Pragnie więc żeby wprzódy w wojennej potrzebie,
»Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
»I gdy właśnie Tatarzy grasują w tej stronie,
»Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
»A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,

»Że tę co umie kochać, potrafi ocalić!
»Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć.» — »Dziś? ja go zobaczę?
»O boże! jaka radość! jakże serce skacze!
»Ale na coż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
»Że śmiały i szlachetny niewidać od razu?» —
»Jednakto rzadko ludzi jak pan wojewoda,
»Sam wyznaje się winnym; lecz mnie ciebie szkoda!» —
»Ojcze! ja taka blada, on mnie się przerazi,
„Może się dużo zmartwi, może się obrazi,
„Trzaby się troche przywdziać, jakże znajdujecie?
»Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!»
— »Czekaj, czekaj, przed siecią nie złapiesz szczupaka;
»Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
»Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
»A dla czego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;
»Zobaczym tych rycerzy, mnie się wszystko roi,
»Że jakieś mataczyny wojewoda stroi.»
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać zdala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce co w wolnej szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.

»Wacław!» krzyknęła Maria, i prędzej niż strzała,
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodnem spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całej swojej chwale!
I na tle przezroczystem pociechy rozlanej,
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanej:
Mężny, wyniosły, miły, po niszczącej burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży,
Z jakąż lubą roskoszą w każdej żyły biciu,
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką tkliwe, drżące łono,
Skrytej, cichej pieszczoty utulił obroną!
Precz złocisty luzaku, weź tego rumaka,
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie mieczniku spocznij, moja rada;
Kręci się łza w twem oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Maria? ah! i Maria czuła się szczęśliwą,
Szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu chwile,
Są jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!” miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami:
»W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
»A ledwo witać zdążysz, żegnać się przychodzi!
»Tą razą, nie na długo, mężnie się postawim,
»Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.
»Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza,
»Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza;
»Aleź po krótkim znoju, spokojnej swobody
»Użyć bezpieczniej można na wesołe gody.
»Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
»I w kielich się uderzy, i nie będziem w poście.
»Maria niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
»Suto stoły zastawić, nie szczędzić korzeni [6],
»Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
»Boto ten piękny rycerz w bakaliach chowany.
»O winie ja pomyślę; i gdy w onym stawie,
»Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
»Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
»Tatar rosę pić będzie; ja za zdrowie zięcia!
»Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku.
»Milsza jeszcze pomyślność na cnoty kierunku!
»Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię,
»Ale jak w trąby wrzasną, to zaraz na konie!”

XVII.

Poszedł; na świetnem, zimnem rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu:
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda,
Gjętką kibić nie ciśnie choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież, w świecie i przyjaźń złośliwa;
Wdzięczne serce, to miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych licćw, czułem, chciwem okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy,
Czy mu czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jej oczy krasi,
Nieznikomy, bo z duszy, chyba go śmierć zgasi;
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł, i posępną radość,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość,
I słodki w górę uśmiech, boleści wdzięk cały;
I na tle czystem plamy, co łzy wymaczały;
Szczęście się jego prędko owlokło jej chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy, niż u czapki pióro.

»Gdym w stepowej i w dzikszej umysłu pustyni
»Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;
»Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
»A koń bił się do domu przez wicher i grady.

»Tyś dla mnie zeszła Mario! i w brzasku mych myśli,
»Swietną drogę twe światło ku niebiosom kryśli;
»O! szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotnem gronie,
»Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
»O! błogi, że w twem sercu przez mokre źrenice,
»Życia, czucia, aniołów czytał tajemnice!
»Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiem tchnieniem
»Ja oddychał, i ciebie okryła swym cieniem?
»Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie?
»Tobie mdłym pachnąć kwiatem w krótkiej swojej wiośnie!
»I mnie wydarli wszystko, i więcej niż tobie,
»Ty do nieba należysz; ja się błąkał w grobie,
»A czarnem pędzon widmem, gdym jasność postradał,
»Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
»Bo z panem wojewodą nie służy żartować,
»I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
»Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
»I niejeden pokrewny oblewał posoką;
»Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie —
»Alebym Marii dopadł przez krew i płomienie!

»Nie drzyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
»Jeszcze pierwej, jak tylko, żeś moją, oświadczył,
»Tak mi tem jednem słowem serce usposobił,
»Jak gdyby mi nikt, nigdy, nic złego nie zrobił.
»To wziąwszy moją szablę, której blask odsłonię
»Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie;
»To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
»Tak szybko mnie unosił, jechałem szczęśliwy.
»Oh, z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
»Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
»Ty nie wiesz, ty co umiesz bez chluby łzy koić,
»Coto jest dzikie serce do siebie przyswoić,
»Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
»W których wspomnieniu umysł chciałby istność schować.
»Mario! czyś ty nie chora? bo masz taką postać
»Jakbyś się do aniołów myślała już dostać;
»I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
»Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?"
— „Czy Maria ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
»Więcej niż kochać wolno, i niż mogą siły;
»Więcej, niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,

»Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość;
»I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
»I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
»Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
»Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
»Czy Maria ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
»Czem dla Marii świat cały bez twego spojrzenia?
»Czem dla Marii świat przyszły, bez twego spomnienia?
»Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą xięgą,
»Zniżona całem czuciem przed stwórcy potęgą,
»Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
»Zaraz mi brzmiało, jakby twego żalu echo!
»To może panbóg skarze tak żywe kochanie,
»I tatarska ci strzała w serce się dostanie;
»Widzisz ten jasny promień, co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
»Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli;
»Czemuż gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
»Próżno, próżno mój luby! choć usta z ustami,
»Patrzaj, chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ah! śród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
»Przypomnij sobie drogi, że promień twej sławy

»Tak czysty, taki świetny, jak słońca na niebie,
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie,
»Oh! niechaj pierwej Marię w ciemnościach zagrzebie!
»Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
»Stały, wytrwały, dzielny, ale i uważny:
»A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą,
»Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
»Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali,
»To może się na miłość Wacław nie pożali.
„Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
»Nie myśleć, tylko o tem w czem tobie dogodzić,
»Być twoich chwil osłodą, czasem ich ozdobą,
„Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
»I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
»Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku,
„A gdy niewolno z tobą, żyć w twojej pamięci,
»To Marii cała miłość, wszystkie Marii chęci.
»Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,
»I przy blasku xiężyca usiadłszy oboje,
»W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,

»To co nikt nie wyraził, przywłaszczym uczucie.
„Ah! z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!”

XVIII.

Padła w drogie objęcie, i wygjętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona,
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niem czuł bole.
Nie, zostać niepodobna, chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swej kochanki hartować swą stałość!
Ani jej wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie;
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięstwo ucieka.
Powstał, złożył swą lubę, dzikim ogniem błysnął,

Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jej szczupłe, gładkie, roskoszne ugięcie,
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł, wziął spokojność, przed wzrokiem co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa;
Już w jego próżnem miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, samotność usiada;
A na odłogu szczęścia, zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi, robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław, i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary miecznik, i w pędzie zawinął nim koło;
Za nimi brzmią puzany, za nimi, za nimi,
Zrywają się rycerze, jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara,
Pancerni i usarze, za nimi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.

Patrzaj pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potem wojna;
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwoż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze, jeszcze słuch, łoskotem
Drga, dźwięcząc przygłuszony, i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada, jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho, jak na sercu śmierć swój obraz kryśli;
I pusto, smutno, tęskno, jak u Marii w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry,
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury:
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho, jak modlitwa w łono boga płynie,
I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.
Byron.

I.

— „Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnej zgryzocie jeśli chcesz osłody,
„Chmurne na polu niebo, i cierpkie jagody.
„Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje;
„Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje;
„U nich w czystem powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone, i roskoszne tchnienie.
„U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne.
„A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych

»Stoją w bieli, i pyszni z swoich imion sławnych,
»Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska,
»Bogów i bohatyrów, pająków siedliska.
»Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
»Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
»Słodycz w rozpaczy znajdziesz, i lubość w żałobie,
»Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie;
»Ale na pola nie chodź gdy serce zbolało;
»Na równinie mogiły; więcej nie zostało,
»Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku,
»To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku. —

»Moje młode pacholę gdzieżto ty wędrujesz?
»Czy z ziemi świętej wracasz, że tak utyskujesz?»
— »Oh! nie, ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny,
»I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
»I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze,
»To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
»A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę;
»A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę;
»Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
»Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,

»Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.»
»To czegoż chcesz pacholę?» — »Uciec od rozpaczy.»

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało,
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten co z niem rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczerzył w inną stronę wzrok cały otwarty,
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem, zbliżały się maski.

I.

»Czy znasz weneckie zapusty?
»I w noc, i we dnie,
»Wesołe, szalone, przednie;
»Maska twarz kryje, a kto się pyta
»O sprawy czyje, tego przywita
»Wrzawa, śmiech pusty.
»Żywo, radośnie,
»Skrycie, miłośnie,
»Staruszek doża, arlekin młody,
»Dziewczyna hoża, szuka osłody;
»Matrony, ..., oszusty,

„Swobody;
„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiech pusty;
„Czy znasz weneckie zapusty?

2.

„My sobie jedziem kulikiem;
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska nas kryje, a kto chce wiedzieć
„Skąd my i czyje? to odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem.
„Szczera ochota
„Otwiera wrota;
„Bo krakowianki, i pielgrzym stary,
„Żydzi, cyganki, uderzą w pary;
„Wróżki, diabli, nie oszusty,
„W puhary.
„Lecim saniami,
„I jadą z nami,
„Wrzawa, śmiech pusty;
„Czy znasz ty polskie zapusty?"

— „Ale tu wejść nie można, teraz nie zapusty,
„Pan miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty."

Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość;
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, spiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać,
Poczęły wszystkie larwy, a nogami pląsać;
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła;
I farby, blaski, cienie rozwijać w polocie;
I skoczno, zwinno, huczno rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować:
Śmiał się z żydów, cyganek; bał wróżek z diabłami;
I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce, zatrzymały nogi,
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem.

„Ah! na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną,
»Hucząc w niej chmury czarnemi;
»A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
»I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
»Smutek nachyli ku ziemi;
»O! niech na chwilę złość się już schowa,
»Rany sztyletem nie cuci . . .
»Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa;
»Wróci spokojność, wróci!

»Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
»Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
»Albo gdy nieba cud nad chorobą,
»Gołąb, od przekleństw odleci;
»I wiedzę życia zabierze z sobą;
»A wyschłe lica nadmie żałobą,
»Wprzód nim gromnica zaświeci;
»Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
»Tryumfu pieśni nie nuci . . .
»Chyba te słowa w końcu umieści:
»Wróci twój anioł, wróci!

»Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
»Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

»A gdy kto chętny w drugich obronie,
»I sam się w przepaść zagrzebie,

»Krótka stąd radość w zawiści łonie;
»Choć złe i dobre w grubej zasłonie,
»Sąd ostateczny jest w niebie;
»Może w kłopocie, i silna głowa
»Posępnie kiedy się rzuci . . .
»Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
»Wróci wesołość, wróci!

»Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
»Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

»A gdy kto dążąc z dalekiej drogi,
»W mieszkanie przyjaźni zajdzie,
»I już w uściskach topić ma trwogi;
»Lecz ciche, puste przebiegłszy progi,
»Twarzy kochanej nie znajdzie;
»Wię-c drząc, czy się co złego nie dowie,
»Spuszczone czoło zasmuci . . .
»Niech choć gościnność kręcąc się powie:
»Wróci gospodarz, wróci!

»Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie
»Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie."

»Ha! pan-bóg święty z wami! jeśliście nie duchy,
»To wasze pstre maszkarki wesołej otuchy;
»Albożto nam pierszyna? wszak nieraz kuligi

„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
„Prosim, jegomość wróci, a choć nie jest w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły, nisko kłaniają, w parach się prowadzą,
Obzierają się w koło, i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki;
A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie;
I w krótkiem pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie:
Jeszcze, w chwili ostatniej nie znika z pospiechem,
By wszystkie twory, życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury,

Gdy noc, zazdrośnym palcem ścierając dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i zdrady.
Lecz gdzież bawi pan miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąść się do gąsiora;
I miał żywej radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić, bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę.
Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili co zwycięstwa odkryła się meta;
Od chwili co w niej dosiadł żartkiego dzianeta;
Od chwili w której trąby, w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież, i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem gdzie im sława świeci,
Czuł to co stary orzeł gdy pisklę z nim leci.
Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem,

Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie wtrząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś, mieczem z pochew świsnął;
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząc że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie.
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
„Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca [7],
„A ktoby życie szczędził srogiego pohańca,
„Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy,
„Bobym mu potym kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało, strzałki wystrzelają,
„Bóg wiara, ufność szabla, i łby pospadają,
„Jak kłosy, coto niby migocą się świetnie,
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;

„To cicho, bacznie, mądrze, aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie;
„Wtedy do-piero każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!"

Potym jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił szpiegów wywiadki; tłumaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięstwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru;
Słuchał zajęty Wacław, gdy ręka i głowa,
I każdy rys miecznika, popierały słowa;
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza:
Żywość w starcu, w młodzieńcu rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiej wpędzali w odłogi;
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca,

Samotne, ciche, błogie, dziewicze ich wdzięki,
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje, gdy w całym przestworze
Rozfarbionej żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swojem wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła:
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie;
Ni lubość tchu słodkiego w groźnem biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy,
Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki [8],
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się, jak strzelec gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce, złączone hufce, w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części, dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie;
Z swojemi, w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodiaków rozkwitłych ogromie,

Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie!

VI.

I Wacław pan wszechwładny, śród stepów przestrzeni
Sam buja w swojej woli, czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały, czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy, czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie, tylko że mu sława,
Łzami Marii spłakana, przed oczami stawa;
Tylko że jego serce w takiem nagle drzeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił, w trosce i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy,
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wyskoku przychylił się woli,
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,

Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięstwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.
To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła zbijały go z drogi;
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność;
Już teraz miłośnica, rycerska powinność!
Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem? (9)
Może on w boju legnie? cobądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija;
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości co mu na przeszkodzie,
Tem chciwiej, tem gwałtowniej, na sztych się wydziera,

Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brzmi w całem jego ciele: »zdobędziesz ty trumnę!”

VII.

Jest trosków, kolców, bolów niemało w tem życiu;
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem,
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła,
Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męcę,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych co jej w sercu cięży,

Gniazdo syczących na świat wylega się węży;
Gdy złość w swojem szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwej sławę,
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie;
Komu? anielskiej duszy co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta,
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia:
Większeto niżli ziemskie, piekielne cierpienia!

Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę;
Ci co za nim rzędami w lśniącej gonią fali,
Na smutek swego wodza niewiele zważali:
Każdy myślał, i chociaż różnica w sposobie,
W tem przecież podobieństwo, że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów, z wzniesionem żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci, za jednym roskazem.
Szli, w milczeniu, w porządku, konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy,
Kędy ich długim sznurem, wedle swojej chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci;

Przez niezmierzone niwy, tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc, naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wydali się oku.
Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu,
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione, rozchodzą się chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy, w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwem brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.
»Baczność, do broni wiara, chorągiew rozwinąć,
»Tatarzy wieś rabują, zwyciężyć lub zginąć!”
I nagle jak wodostok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął.
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,

Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już, przez swoje czaty, ich han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony;
Tam za wsią stoją, całe zakrywają pole,
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole ([10]).
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! ktoż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy, zwyciężyć czy zginąć?
»Czyja wola to za mną!« rzekł, i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i skaka
(Mniej ów niżli graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie, śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia, szukają swej drogi.
Już za wsią, i wraz szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linii ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i zemsta i chwała.

IX.

Dzielne było natarcie: tatarskie szwadrony,
Ich xiężyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło zbliska,
Ludziom, ostrza się dotknąć; koniom, pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali, wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
»Ałła hu!« wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych, strute wypuściły groty,
»Hura!« krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą, zbitym w rzędy tłumem,

Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystkoto chwilę trwało, bo z boków i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile:
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera,
Dopiero mieszanina, każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają.
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X.

W natłoku wrogów co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela,
Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą,
Śmierć miotał śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi,
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonią jego myśli, lecz czyto z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą, poznają wodza, i każdy koleją,
Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec,
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec;
Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści,
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem [11] jaszczurki utkwiła się w ranie?

Żal mu że już uchodzą, życia się obawia,
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia!
Zaraz! zaraz! otyły, brunatnoczerwony,
Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męztwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę, z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia; o zgrozo! o wstydzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! rozsieką!

XI.

Jakieżto grały trąby za przyległym lasem?
Jakieżto świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiżto nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pospiech o szybkość w obawie.
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męztwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,

Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje,
Z takiem zmieszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiej mary,
Obok swojego zięcia, miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony hanie!
Lecą obces na siebie. Polacy, Tatarzy
W bezczynnem zachwyceniu patrzą co się zdarzy.
Jakiś czas miecznik żmudził; uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem,
W kark niewierny święconem utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie, i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają,
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rzenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka, wielu oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada.
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola.
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męztwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz, jak wpośród trupów co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź, nie drzyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie,
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!
A jeśli w tobie budzi, życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków, tylko strachu drzenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz, to zlękniesz się siebie.

Chodź, do stalowych piersi, twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznem sercem, i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim, schylone brzozy, w swej białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy.
Tam, pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięscy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność, że roskosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się znużeniem.
Z przodu, gasnący pożar, jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;
Z tyłu słońce już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby, kruki gromadami
Zlatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami,
Czaty porozstawiane, przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi, w końskich zębach trawa

Jak chrzęst odległych zbroi, a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan miecznik, ale pełen chwały
Chłodząc odkrytą głowę pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział.
„Synu! bo kiedyś z sercem połączon tak blisko'
»I masz w niem miejsce syna, miejże i nazwisko!
»Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwej nici;
»Nasz Wacław powrócony, Tatarzy pobici,
»Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi,
»Fortunyto szczodroty nad moje zasługi.
»Lecz kiedy dusza zda się dzierzy czego żąda,
»Coś wasze na zwycięscę smutnie mi wygląda?
»Patrzno, jakże ci pięknie xiężyc oto wschodzi,
»Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
„Siadaj na koń, spiesz wesoł, kędy szczera żona,
»I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona;
»Ja tu obiażdżki dojrzę, a jutro ze świtem
»Brzęknę wam na dobrydzień witanem kopytem.
»Siadaj, twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
»Bądź zdrów! niech ci bóg zawsze jak ja błogosławi!»

XIV.

Powstał z pospiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie.
A stary miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Śrebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna xiężyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedyto słodkie tony brzmiące przerywanie,
Spiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej i żywej i tkliwej muzyce,
Mówią ockniónym czuciom swoje tajemnice;
Wtedyto luby zapach co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem roskoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała

W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała.
Wtedy matką natura, wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli;
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu, dobroć, w ustach przebaczenie.
I takto leciał Wacław, błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile,
I takto mijał stepy, lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! jak widmo wstaje przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.
»Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
»Więdnie pieszczotny powój, a wszak bez osłony
»Nie trwa tu słodki owoc, i cóż? ledwo wrócił,
»Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
»Dla czego? dla czczej sławy, której blask nie waży
»Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
»Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;

»Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
»Niepomny jakto gorzko czas zgryzotą liczyć,
»Płochy, wydarł się szczęściu co mogł odziedziczyć.»
Ah! dalej! prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
»Ha! ha! nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.
I takto leciał Wacław, szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny, był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione;
I zarzał, nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę,
Lecz chociaż xiężyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
»Musi być bardzo poźno, niech śpią trosk nie czując.»
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą w której serce tonie,

Kiedy już bić ma wkrótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem, u drzwi domu stawa;
Ah! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od aniołów; zastukał, raz, drugi i trzeci,
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy, to jedyny znak ruchu lub życia,
Który tam drzymiąc czekał rycerza przybycia;
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej mowie,
Ni światła, w ciemnej, cichej, zamkniętej budowie.
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi,
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić;
Wnosić *jej* niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczej niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał lecz słabiej, bo już w serca niebie,
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem, nieraz w pośród ciszy

Zatrzymując się nagle, czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na xiężyc w pełni, co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach, obalał na trawę,
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę; widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w tej pyzatej twarzy.
I tak dumając smutnie, lub niemyśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu,
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zaklęte zamki arabskich powieści.
Lecz cożto? już w zupełnej nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie, w sypialnej komnacie
Widzi otwarte okno, i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły;

Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnot najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym, ni drugim, umiał walczyć w boju,
Kochać, być wiernym, wdzięcznym; już Wacław w pokoju!

XVI.

Na nierozsłanem łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uspiona tam leży;
Ale jej snu twardego wygoda nie pieści;
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jej sinej twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało,
I długie jej warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki miłość spiące wdzięki kładzie;
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarzyć chciała; tylko że jej usta
Ścięte silniejszą władzą, a promień xiężyca
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Maria, rycerz przed nią stoi,
Przyniósł jej ziemskie szczęście, i czegoż się boi?
To młoda śliczna Maria? oh! jakże zmieniona!

Czy już się będzie robak tulić do jej łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drzeniu;
Schyla się na jej lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca roskosznie w nie sączy.
»O! moja droga Mario! ty zimna i niema,
»A dla nas już jest szczęście« echo mówi: »nie ma,«
»Mario! kochana Mario! w boju mnie widzieli,
»Ojciec mnie z tobą spoi« echo mówi »dzieli.«
Znowu ją pieści, cuci, z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;
Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał, szukał ratunku, pusty dom przebiegał,
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca, znalazł nadzieję, może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością co w dół nie przyciska,
Lecz w całem opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,

Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
»Oh! wody! wody!« wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje,
Rozsuwają się liście i czapka wystaje,
I głowa się podnosi, i stanęło ciało,
Co tam w cichem czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia co na świat płakało.
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą?
Nie wiem, wyszło z gęstwiny, i tak przemówiło.

»Niech rycerz drżącem sercem nie pragnie tak wody,
»Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody;
»To te obrzydłe maski, w swej zdradnej zabawie,
»Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie:
»A kto raz ludzi porzuci,
»Nigdy już do nich nie wróci.

»Wszyscy domowi, szlachta, panny, giermki, draby ([12]),
»Pobiegli w pogoń, drudzy, po xięży i baby;
»I dom teraz w cichości; lecz nim zorza znijdzie,
»Mrucząc, kadząc, spiewając, służba śmierci przyjdzie,
»A kto im raz się dostanie,
»Zawsze już u nich zostanie.
»Zawsze, oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem,
»Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem!
»W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie,
»Tak często powtarzane, a prawdziwe, w grobie,
»Bo kto raz ludzi porzuci,
»Nigdy już do nich nie wróci.«

I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść, a w twarzy rycerza,
Czarna, czarniejsza chmura, coraz się rozszerza;
I znów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,

Co patrzy w jeden przedmiot, w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższem sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
Krwi, krzyku, dzwonów, płomień popsutego łona,
Co domowej niezgody rozpala pochodnię,
I w własnem swojem gnieździe zbrodnią karze zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki,
O! jak bezecnej zemście co nim słusznie miota,
Towarzyszy okropnie rospacz i zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałem oku
Łączy myśl przeraźliwa, niezmienność wyroku!
Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni, postać Laokona (13).

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;

I już nigdy swej lubej ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Której blask, czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni,
Jakże zniknienie Marii ciemną ją uczyni!
Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiej złości, i widok jej skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku,
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!"
I gdy w jej zbrzękłej twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niej zmartwiało,
Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie, zagubił z nią razem;
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie,
Twarz ukrył w obie ręce, i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo, już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłej, zatknięte to godło,

Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło.
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczej na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne tylko chwilę świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci,
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanej tkliwości,
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości.
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda.
Gdzie tylko jedna słodycz, w wzajemnym zachwycie,
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku; aż w poźnej jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda, i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje,

Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże czarne wewnątrz spalenizny znaki;
A gdy w rażonem drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Ktoż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.

Co Wacław sobie w życiu może obiecywać?
Trudnoby wytłumaczyć, i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć, na coż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał, i chyba to zyska
Że nie czas, ale płomień zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiem zamyśleniu korząc się przed bogiem,
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A xiężyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jejmości,
I czułem wyręczeniem bezwładnej skromności,
Jej członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy, z tęsknem wejrzeniem na jej martwe lica,
W którem żałość rozstania, lecz i obietnica

Prędkiego połączenia, z uwagą rozpaczy,
Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy,
Wtedy dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł, i zaraz z twarzy wszelkie znikły bo-
le;
Skoczył na koń, a za nim usiadło pacholę.
Lecz ktoż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? aniołem? szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim
dzieli?
Nie wiem; objął rycerza, i w czwał polecie-
li.

XX.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą sie trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy czy pogrzeb, czyto chrzciny spie-
szą:
Wewnątrz, kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece, czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać, śród ciekawych grona,
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?

I z tą cichą pokorą, co się nie użala
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady, jak łysk od gromnic co mu na twarz wbiega,
Smutny, jak spiew umarłych co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to pana miecznika siwa, nędzna głowa,
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Nato huśtał kołyskę by w trumnie uspili,
Nato jej woził lamę żeby całun szyli.
I dziwno, tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potym, ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z bogiem, a zresztą je-
dnaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu, przy córki i żony

Przyległych dwoch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda, już spał, spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA.

PRZYPISY.

Przypis 1 karta 24 wiersz 31.

Minął juz kozak bezdnię i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdej wiosce, znajdują się źródła lub studnie osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale zato każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od duchów strzeżona.

Przypis 2 karta 30 wiersz 156.

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dla tego może tak jest ujmującym w pięknej twarzy że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnienia się; a tylko pęzel Rafaela, w obrazie śtej Cecylii, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wpatrywał. Śta Cecylia, lu-

bowniczka muzyki, wystawiona jest w tem malowidle śród narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos anielskiej harmonii; i nie masz słów któreby opowiedzieć umiały uczucie jakiem uderzona jej postać: zdaje się że jej dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jej sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet śtej Cecylii mniej ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza, sama jedynie myśl gieniuszu świeci od wieków w tem szacownem płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten najduje się w Bolonii, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i mego *widzimisię*, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

Przypis 3 karta 33 wiersz 218.

Podobna do owoców umarłego morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można w angielskich poetach do tych szczególnych owoców

które rosnąć mają nad brzegami jeziora *Asphaltes*, znanego pod imieniem martwego morza.

„Like to the apples ou the Dead Sea's shore,
„All ashes to the taste."

Byron. Harold's pilgrimage, Canto III.

„Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,
„But turn to ashes on the lips."

T. Moore. Lalla Rookh, I. 222.

Przypis 4 karta 33 wiersz 232.

A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory;

Wyrażenie to, stosowne do ducha religii chrześciańskiej, nie jest może niewłaściwem i co do sposobu pod jakim się przedstawiają oku, w znacznej wysokości, utwory dumy lub dowcipu człeka, sama nawet piękność natury którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojej na szczyt góry Montblanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć jakich już zapewne w życiu mojem nie doświadczę; w podróży tej straciłem żywy z oczu i z myśli dziedzinę na której panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białej farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne i t. d., jakby rozciągnięte na mroku żagle, kiedy domy, miasta nad ich brze-

gami stojące, barwy, blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie, rozpoznać było można lodozwały (*glaciers*), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznej wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mieszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok z góry Montblanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczej go sobie wyobrazić nie podobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego ducha, w chwili gdy bóg chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka, znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a ztąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiem jakiemś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernej różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, niktby go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia jakiego doświadczyłem na tej ogromnej i odosobnionej górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia tej podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszej chmury i niezbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarii a szczególniej w *Chamouni* pełni są odwagi i rozsądku.

Przypis 5 karta 38 wiersz 336.

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem;

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiej, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek n. panny z napisem polskim gockiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc a zapewne nieraz i krwawe odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

Przypis 6 karta 44 wiersz 470.

Suto stoły zastawić, nie szczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: Pamiętniki o dawnej Polsce przez Juliana Niemcewicza.

Przypis 7 karta 62 wiersz 829.

A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

»Od Tamerlana podane prawidła zachowywali »Tatarzy i to nazywali nasi dziadowie tańcem ta»tarskim." Czacki o litewskich i polskich prawach k. 235 przypis 111.

Przypis 8 karta 64 wiersz 873.

Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

»Stepy te wysoką okryte trawą ; nie można je»chać przez nią by jej nie stratować; dla niepozna»nia więc toru i śladów używają Tatarzy następu»jącego wybiegu. Wnosząc, że ich jest 400, dzie»lą się na cztery części po sto, część jedna idzie »na zachód, druga na wschód, trzecia na południe, »czwarta na północ; każda część uszedłszy półto»rej mili dzieli się na cztery części, postępuje dalej »i znów się dzieli, tak że na końcu nie będzie jak

»po 10 lub 11 w hufcu, wszyscy jadą sporym »kłusem; kiedy są postrzeżeni, każdy hufiec ucieka »w swą stronę; tak trafnie kierując się przez stepy »dochodzą do przeznaczego miejsca, jak najlepszy »żeglarz kompasem swoim lepiej kierować się nie »może. Pędzący za nimi kozacy, trafiając na labi»rynt potratowanych przez nich ścieżek, nie wie»dzą w którą stronę gonić za nimi." Opisanie Ukrainy polskiej przez Beauplana; w Pamiętnikach o dawnej Polsce J. Niemcewicza tom III, karta 373.

Przypis 9 karta 65 wiersz 912

Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności która nas otacza, ale gdy to czego pojąć nie możemy za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując staniemy się podobni do tego sceptyka z komedii, który dla tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdej chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał, na obronę tych dwoch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie, zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia,

właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnej i nowożytnej historii: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnem zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętem ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem upewniał domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego jenerała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci jenerała Karwickiego mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i metafizyków o pozwolenie prosić wypada; do których po-

wiedziećby można z Shakespearem: „*There are more things ir heav'n and earth, than are dreamt of in our philosophy.*" — *Są rzeczy na ziemi i w niebie o których nam się ani marzy w naszej filozofii.*

Przypis 10 karta 69 wiersz 984.

Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.

„Tatarzy radzi się potykają w polu równem, „pułki swe w około zgromadziwszy szykiem za- „krzywionym, który pospolicie ludzie rycerscy mar- „sowym tańcem zowią, a na pierwszem potkaniu „tak gęste strzały puszczają jako najgęstszy grad." Kronika Gwagnina tłómaczenia Paszkowskiego kar. 593.

„Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a naksztalt „półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się „rozstrzelili." Kronika Marcina Stryjkowskiego karta 345.

Przypis 11 karta 72 wiersz 1054.

Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

„Tatarzy strzały swe jadem jaszczurczym na- „puszczają." Paszkowski dzieje tureckie kar. 15; patrz słownik Lindego pod wyrazem jaszczurka.

Nieznalazłszy bowiem tej xiążki w bibliotece uniwerstetu warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

Przypis 12 karta 85 wiersz 1318.

Wszyscy domowi: szlachta, panny, giermki, draby.

Drab, żołnierz pieszy; p. słownik Lindego.

Przypis 13 karta 86 wiersz 1351.

Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni: postać Laokona.

Powszechnie wiadoma historia, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg do którego stosuje się to przyrównanie.

DOKUMENTA

mające związek z osnową Marii.

DOKUMENTA

mające związek z osnową Marii.

I.

Działo się w króleskim zamku w Warszawie, w sobotę przed uroczystością świętego Egidiusza opata, to jest dnia 28 sierpnia, roku pańskiego tysiąc siedmset siedmdziesiątego trzeciego.

Przed urzędem i niniejszemi aktami grodzkiemi, starościńskiemi, warszawskiemi, stanąwszy osobiście jaśnie wielmożny Jakób hrabia Komorowski, kasztelan santocki; nowosielski, podlisiecki starosta, przedłożył temuż urzędowi i jego aktom swój manifest, w języku polskim napisany, następującej treści. Powszechne nieszczęście i rozmaite klęski po całym kraju rozszerzone, położyły tamę wymiarowi sprawiedliwości w całem prawie królestwie,

i wstrzymały pokrzywdzonych od wnoszenia skarg bezskutecznych, chociaż ich krzywdy były nieznośne i całemu społeczeństwu niebezpieczeństwem groziły. Prócz tego miłość, którą jaśnie wielmożny Stanisław hrabia Potocki, starosta bełzki od dawnego już czasu ku mojej córce powziął, miłość nie dająca się odstraszyć przedstawieniem dobrze wprzód obliczonych trudności, jakie ztąd wyniknąć mogły, ta miłość przyzwoitym sposobem wzniecona, statecznie pielęgnowana, nie znajdująca się wreszcie niżej jego stanu, albowiem obie przezacne rodziny były już od dawna z sobą spokrewnione, wszelkiemi duchownemi obrzędami prawnie potwierdzona, nie płonną dawała otuchę, że jw. Franciszek Salezy Potocki wojewoda kijowski, ojciec pomienionego jw. starosty bełzkiego, po spełnieniu na dniu 13 lutego 1771 roku szkaradnej zbrodni (niżej obszernie opisanej) ochłonąwszy z pierwszego gniewu, słusznością i prawami przekonany, zwyciężony sumieniem, pobudzony wreszcie opinią powszechną: że przez niego dany był rozkaz do wykonania tej zbrodni, chcąc udowodnić swoję niewinność, a temsamem zbić to krzywdzące o sobie mniemanie, niezaniedba zwrócić mężowi nieprawnie uwiezioną małżonkę, rodzicom gwałtem

wydartą córkę, i uznać ją za żonę prawną swego syna, jak mu to jego powinność nakazowała. Niemniej można się było spodziewać po jw. staroście bełzkim, że powróciwszy z zagranicy, pierwsze swoje staranie w to włoży, aby wynaleźć ukochaną i wybraną przez siebie małżonkę, z czegoby się okazało, ile ma poważania dla tych którzy mu rodowitością równi, ile posiada tęgości charakteru, tego przymiotu wielkodusznych, i ile sobie ceni wierność małżeńską, tylu obietnicami ztwierdzoną, a co największa, dobrowolnie i rozmyślnie przed bogiem zaprzysiężoną. Oto przyczyny które mi zamykały usta tylekroć do przedłożenia krzywdy mnie i całemu społeczeństwu wyrządzonej gotowe, i powściągały rękę, do podania urzędownie napisanego manifestu wyciągnioną. Lecz gdy miasto spodziewanej poprawy, tak słuszne zobowiązania w niepamięć poszły, ba nawet ze wzgardą prawie odrzucone zostały, gdy na rozsądne i łagodne przedstawienia zacnych przyjacioł, niedano dostatecznej odpowiedzi, a żądane z ich strony, z naszej zaś z powolnością zachowane milczenie o całej tej sprawie, po niedotrzymaniu z ich strony obietnic pokazało się oczywistym podstępem, niemającym innego celu, jak tylko puszczenie tej sprawy w prze-

włokę; ustaje tedy długiem oczekiwaniem znękana cierpliwość, a boleść powiększona przenikając wskróś serce, zmusza mię ogłosić przed całym światem moją żałobę. Słuchajcie i patrzcie wszyscy! z jaką zuchwałością rozpasana przemoc, wsparta bogactwy targnęła się na zdeptanie równości, jak zemsta dumą rozdmuchnięta niewzdrygała się dla dogodzenia swej żądzy okrutną z niewinności zrobić ofiarę, jak szkaradnie prawa boskie, duchowne i świeckie, miłości bliźniego i pospolitego bezpieczeństwa są pogwałcone tą od wieków niesłychaną zbrodnią, której wierny opis ze wszystkiemi szczegółami, jakie ją poprzedziły, dla oczyszczenia złośliwą obmową czernionej niewinności mojej i dla wykazania sprawcy tej zbrodni, pod sąd powszechny oddaję.

Bliskie sąsiedztwo i długoletnia przyjaźń z domem jw. Potockiego wojewody kijowskiego, w której ja niniejszą żałobę zanoszący, zostawałem, łatwo nastręczała sposobność jw. staroście bełzkiemu częstego widywania najstarszej córki mojej imieniem Gertrudy, i rozpatrzenia się w jej przymiotach, usilnem rodziców staraniem i hojnym nakładem na wychowanie odpowiedne przezacnemu jej rodowi do wysokiego doskonałości stopnia

doprowadzonych. Teto przymioty, które jej szacunek powszechny zjednały, tak mocno ujęły serce jw. starosty, i tak wysoko przez niego były cenione, iż wróżąc sobie najpewniejsze na przyszłość szczęście, skoroby ją za towarzyszkę życia uzyskał, nieomieszkał oznajmić nam natychmiast, że pała ku niej najczystszą miłością i po dokładnej rozwadze, powziął myśl stanowczą starać się o jej rękę. Sama przyzwoitość i obowiązki należne przezacnego rodu młodzieńcowi, niepozwalały mi odrzucić tak uroczyście i dobitnie oznajmionego żądania jw. starosty. Wszelako niezaniedbałem z mojej strony udzielić mu zbawiennej rady, aby przedewszystkiem odkrył ten zamiar swoim rodzicom i zastosował się w tej mierze do ich woli. Tej rady nieprzyjął jw. starosta, dając tę pozorną przyczynę, że jest wprawdzie obowiązany powodować się wolą rodziców we wszystkich innych rzeczach, lecz co się tyczy wyboru przyszłej towarzyszki życia, sądzi to zan rzecz własnej swojej woli, upraszał przytem najusilniej, aby tego postanowienia jego nierozgłaszać, i upewniał nas że nie może ztąd wyniknąć nic złego, albowiem ojciec nieraz mu przyrzekał dać przyzwolenie swoje na własny jego wybór, a na przypadek, gdyby tenże dla ja-

kiejbądź przyczyny przyzwolenia swego nie dał, natenczas będzie można usunąć tę przeszkodę, częścią przez niepodobieństwo cofnienia tego, co się już raz stało, częścią przez usilne zabiegi. Jednakże dałem czas namyślenia się dobrze tak jw. staroście, jako i mojej córce; pozwoliłem im widywać się z sobą w naszej tylko, lub przyjacioł naszych przytomności; i ociągałem umyślnie blisko pół roku, mimo usilnych i ustawicznych nalegań jw. starosty, spełnienie jego żądania, w nadziei, że ta rzecz tak długo się ciągnąca doniesie się wreszcie do domu jw. wojewody, i rodzice dowiedzą się o zamiarze swego syna. A gdym stosowną ku temu celowi otrzymał wiadomość, że jw. wojewoda dowiedziawszy się o częstem bywaniu swojego syna w domu moim, kazał wołać do siebie koniuszego i innych sług, którzy mu w tych odwidzinach towarzyszyli, grożąc pierwszemu utratą łaski i służby, drugim zaś karą surową, jeśliby się ważyli rozgłaszać tę okoliczność, która im tylko samym wiadoma była; przecież ani synowi swemu niezakazał bywać w moim domu, ani sługom słuchać jego rozkazów, natenczas wniosłem, ufając powyższym zapewnieniom które mi dawał jw. starosta, że chociaż jw. wojewoda wie o skłonności swojego syna, jednakże

nie znachodzi w tem nieprzyzwoitości i zdaje się na to przyzwalać, radby ją tylko, dla jakowychś jemu tylko wiadomych przyczyn, zachować przez czas niejaki w skrytości. Przekonawszy się w ciągu dawania przestróg, że jw. starosta w zamiarze swoim jest niewzruszony, a jego miłość najmniejszej nie ulega zmianie, z drugiej zaś strony ujrzawszy w córce mojej równą ku niemu przychylność, przyrzekłem mu jej rękę. Po odbytych więc zaręczynach, i otrzymanym od przewielebnego oficiała chełmskiego indulcie, na żądanie strony obojej (jak świadczy list jw. starosty, pełen uprzejmych nalegań), odbył się po kilku tygodniach w przytomności miejscowego parocha uczciwie i uroczyście ślub. Wzywam w tem miejscu wszystkich, niech wolnym i nieuprzedzonym umysłem, po dokładnem rozważeniu wszystkich szczegółów, rozstrzygną, czy rodzice, którzy dzieci swoje z wrodzonego popędu kochają, a przeto troskliwie ich szczęścia pragną, powinni się odstraszać początkowemi drobnemi trudnościami, na których rzadko gdzie zbywa, i niedawać swego przyzwolenia na połączenie dwojga serc związanych czystą i stateczną przychylnością? a szczególniej wtedy, gdy równość urodzenia i wszelkich zaszczytów w ojczy-

znie, dojrzały wiek oblubieńca i według praw wszelkich należąca wu wolność obierania sobie stanu i przyszłej życia towarzyszki, nadto, wszelkie podobieństwo, że ojciec nie jest temu przeciwny, gdy mówię te i tym podobne okoliczności upewniały ich, że w takowem postępowaniu nic złego i nieprzyzwoitego zdarzyć się nie może... Jednakże pokazało się potym że jw. wojewoda nadspodziewanie całkiem innego był w tej mierze mniemania; albowiem skoro się o ożenieniu syna dowiedział, wpadł najprzód w oburzenie i gniew tak przeciw synowi, jako i jego przyjaciołom; wkrótce potym przybrał postać udobruchanego, jął synowi radzić, aby się nie smucił, szczególniej zaś aby nieokazywał najmniejszego zmartwienia przed matką; a że od dawnego czasu przerwane z naszej strony bywanie w domu jw. wojewody mogło w synu wzniecać niejakie podejrzenie, pokazał mu więc swój list własnoręcznie do nas napisany, w którym nas do swego domu zapraszał, i kazał mu napisać podobnyż list do swej żony z usilną proźbą aby przyjechała, i wyrazić w nim, że rodzice nic jeszcze niewiedzą o tem co się stało. Z listem swojego syna na jego rozkaz pisanym posłał jw. wojewoda sześciokonnym powozem swojego

dworzanina nazwiskiem Wilczka, zatrzymawszy swój list u siebie. Ten chociaż zapewniał, przybywszy do naszego domu, że przyjechał bez wiedzy jw. wojewody i tylko na rozkaz jw. starosty, jednakże ja mając z poprzednich wiadomości pewność, że jw. wojewoda wie o ożenieniu syna, a w jego do żony liście właśnie przeciwnie wyczytawszy, domyślałem się łatwo że to rzecz umówiona, odezwałem się tedy w te słowa: Gdyby mię o to prosił jw. wojewoda, natenczas przywiózłbym własnym moim powozem najukochańszą córę moję, a jego synowicę w dom jego, dla złożenia mu mego uszanowania. Chcąc się przekonać o prawdzie wyprawiłem umyślnego do jw. starosty posłańca, wywiadując się od niego jak rzeczy stoją. Jw. starosta będąc już pozbawionym wolności pisania czego innego, a przytem pilnie strzeżony odpisał mi ołówkiem te słowa: »Co się dzieje? i na jaki koniec posłano tego człowieka z powozem? o tem zgoła nic nie wiem. List ten kazał mi pisać ojciec, który pokazywał mi oraz list swój do jmćpaństwa zapraszając ich w dom swój. Zresztą nic nie wiem. Ojciec mój ciągle mi tylko powtarza: bądź dobréj myśli, niedaj po sobie poznać zgryzoty, aby tego matka niepostrzegła.

Jednakże wybadywa mię przez jednego z ojców trynitarzy. Jak długo trwać będzie, i dokąd zmierza to fałszywe ze mną postępowanie? niewiem. Bardzo się dobrze stało żeście niedowierzali tej posyłce, a ja mocno upraszam dać pilną baczność na osobę, od której, chociaż tu nieobecnej, moje życie i zdrowie zawisło." Skorom ten list dnia 4 lutego otrzymał, postanowiłem dla uniknienia podobnych pokuszeń na przyszłość, wyjechać pode Lwów do dóbr moich Nowesioło, zwłaszcza, że z powodu słabości mojej żony trzeba mi było mieć w bliskości lekarzów. Lecz oto przed samym wyjazdem przysyła jw. wojewoda umyślnego posłańca z listem tym samym który pokazywał pierwej synowi (jakto poprawiona data oczywiście dowodzi) i zaprasza mię z całą familią na ostatki zapust do siebie. Chociaż tą razą poprzednicza przestroga dana mi w liście jw. starosty słuszny natrącała domysł, że tu idzie o to, aby, po nieudaniu się pierwszego zamachu, przyprowadzić go do skutku innym sposobem; sądziłem jednak, że zbliżenie się przyjacielskie i wyłuszczenie ustne nienagannych powodów naszego postępowania potrafi ułagodzić choćby największym gniewem oburzone umysły, postanowiłem więc korzystać z tej

sposobności. Odprowadziwszy tedy moję coraz słabszą małżonkę do pomienionych dóbr, i przedsięwziąwszy środki ku jej uzdrowieniu, udałem się sam w drogę do wojewody, wysławszy przodem dworzanina mego do Krystianopola, aby mi tam zamówił gospodę. Ten skoro się tam na miejscu pokazał, obskoczyli go natychmiast dworacy jw. wojewody, i przetrząsali do koszuli, wywiadując się czy niewiezie jakich listów. Spatrzywszy porę sposobną, wyrwał się on od nich, i przybiegł do mnie opowiedzieć co się z nim działo. Przerażony taką nieludzkością, i nieupatrując sposobu złagodzenia umysłów zemstą pałających, oddałem się nadziei, że je sam czas ostudzi, i wróciłem z drogi do pomienionych dóbr moich pode Lwowem, niespodziewając się, aby z obrazą praw krajowych jakakolwiek napaść wydarzyć mi się mogła. Lecz nad wszelkie spodziewanie rozpasana zuchwałość urągająca się z praw najświętszych, nie zostawiła mię na długo w spokoju. Albowiem dnia drugiego po moim powrocie, około dziesiątej godziny w nocy, tłum ludzi zbrojnych napada mój dom, odmienia mowę udając się za Moskalów, biciem i groźbą rozpędza służbę i poddanych, którzy według zwyczaju odbywali straż nocną, otaczają

ówczesne moje mieszkanie tak, że żadnej drogi do ucieczki niebyło; kilku z nich w dziwacznym stroju i z twarzą zaczernioną wpada z przeraźliwym wrzaskiem powtarzając te słowa: *Kondraty!* (konfederaty) *rubi! wiaży! koły!* do pokoju, w którym siedziałem ja z moją małżonką i córką przy stoliku, strzelają do nas kulami, które jednak osobliwszem zrządzeniem opatrzności w ścianach pokoju utkwiły; a gdy ochraniając żonę moję i córkę do drugiego pokoju ich prowadziłem, strzelają do mnie raz jeszcze tak blisko, że kula przetarła mi włosy na głowie. Szlachetnie urodzonego Łukasza Trzaskowskiego, który się podówczas u mnie znajdował, i usiłował zamknąć drzwi do drugiego pokoju wiodące, a tym sposobem wstrzymać tłum cisnący się, okrutnie kaleczą w chwili gdy, po wyważeniu drzwi przez nich, zasłaniał moją na ziemię obaloną małżonkę przed ich ciosami, jak to poświadcza urzędownie zrobiona obdukcia ran tak jemu jako i innym sługom zadanych, i obejrzenie sądowe kul w ścianach pozostałych. Inni podziurawili bagnetami pawilon nad łóżkiem. Nakoniec postrzegłszy moją córkę, małżonkę jw. starosty, stojącą między osobami płci swojej i drżącą z przelęknienia, zawołał jeden między nimi,

który ją zapewne znał, te słowa: *Woźmit jei! ona znajet o kondratach* (weźcie ją, ona wie o konfederatach) poczem porywają ją z sobą, bez względu na jej płeć delikatną i wiek młodociany, i wloką najokrutniejszym sposobem między końmi przez kilka staj, jak to poświadczały ślady jej stóp na śniegu zostawione. Dalej zaś uwożą ją bez fatra lub jakiejkolwiek przed zimnem osłony, czyto sankami, które we wsi widziano, czy też innym sposobem, o czem dokładnie wiedzić nie można. Przestraszona tak niespodzianym napadem małżonka moja, niemogąca uciekać dla słabego zdrowia, przywlokła się z wielką trudnością do bramy, a z tamtąd do najbliższej chaty jednego z poddanych, padając razporaz w zaspy śniegu wiatrem nawiane. W mniemaniu, że godzą na życie i majątek nas wszystkich, przebiera się aby ją niepoznano w najlichszą odzież wieśniaczą, i każe się zawieść temuż chłopowi do Lwowa, aby przynajmniej swoje życie ocalić mogła. Ja z mojej strony skoro postrzegłem, że mi moją kochaną córkę zrabowano, tknięty najgwałtowniejszą boleścią serca, zebrałem naprędce moich rozproszonych ludzi, i posłałem ich za rabusiami w pogoń; lecz nadaremnie; albowiem oni podzielili się zaraz

za wsią na kilka oddziałów, i rozbiegli się w różne strony, aby zniweczyć wszelkie usiłowania pogoni. Ciemność nocy w tej porze roku, dała im sposobność oddalenia się tak, że ludzie moi, niedowiedziawszy się dokąd się rabusie z moją uwięzioną córką udali, powrócili do domu. — Możnaż się było spodziéwać, że jeszcze coś okrutniejszego nasze rodzicielskie serca dotknie, jak to gwałtowne wydarcie córki z taką troskliwością wychowanej, obok jej wysokiego urodzenia wszystkiemi cnotami ozdobionej, będącej właśnie w tym wieku i stanie, w których można się było po niej spodziewać tak pożądanej naszych długoletnich trudów nagrody? A jednak zemsta niczem nieubłagana, i nienasycona osiągniętym skutkiem najokrutniejszego przedsięwzięcia, wynalazła podwójny środek pomnożenia naszych umartwień do rozpaczy nas przywodzących. Pierwszym z tych środków był manifest zrobiony przez jw. starostę bełzkiego, dnia 6 lutego w Krystianopolu przed xiędzem, którego tylko imię Gabriel wymieniono, w przytomności dwoch wynalezionych świadków, mocą którego uznaje tenże swój małżeński związek, o którego ważności wątpić niemożna, za nieważny, ogłasza swój indult, o który w liście swoim tak

nalegał za zmyślony, łącząc do tego najdotkliwsze, i cienia prawdy niemające, naszą zaś uczciwość nader krzywdzące zarzuty. Drugim środkiem była dawniej już szerzona i dotąd jeszcze bezczelnie powtarzana pogłoska, której żaden człowiek rozumny wiary dać nie może: jakoby rodzice sami własną swoją córkę uprowadzić i skryć kazali, gdy przeciwnie my sami mimo usilnych starań i nieszczędzenia wydatków nie tylko jej wynaleźć niemożem, lecz żadnej nawetzasiągnąć pewności, czy ona żyje, lub nie.

Ktoż z tego rzetelnego wyłuszczenia powszechnie wiadomych okoliczności nie odgadnie prawdziwego tej zbrodni sprawcy? Mogłożbyto być, aby mąż tak dostojny, którego zdanie powszechne prawdopodobieństwem wsparte jako sprawcę tej zbrodni potępia, nie czuł się obowiązanym, lub niemiał dostatecznych środków, do ratowania sławy swojej (jeżeliby to oszczerstwem być miało) przez wykrycie prawdziwych tej zbrodni sprawców, i pokazanie nam stroskanym rodzicom innej drogi do odzyskania ukochanej córki? Lub czy godziwa i przyzwoita, aby małżonek swoję małżonkę, której za usilnem staraniem i poprzedniczą rozwagą wierność zaprzysiągł, i którą własnoręcznie najognistszemi wyrazami o

stateczności przywiązania swego upewniał, obojętnie, bez iskry czucia, niepewnemu losowi zostawił? Aby nie użył jak najrychlej środków jakie ma pod ręką, i nie wyrwał jej z tak nieszczęśliwego położenia? Wszystko przeciwnie postrzegac można w postępowaniu jw. starosty, albowiem tenże oddala od swego boku ludzi podejrzanych o udział w tej zbrodni, dawszy zaręczenie, że jeśli rzecz tego wymagać będzie, przystawić ich nieomieszka, a tem samem w wywiedzeniu się o losie mojej córki od owych wskazanych przezemnie ludzi, i wymierzeniu sprawiedliwości na zbrodniarzach staje mi na zawadzie, kładzie więc kres mojej cierpliwości, która jedynie na szlachetnem przypuszczeniu mojem, o jego stałości dla żony, polegała.

Tak tedy nieznośnem okrucieństwem rozzuchwalonej przemocy uciśniony, wzywam po bogu, mojej najpierwszej ochronie, waszego miłosierdzia wy wielkoduszni monarchowie, wy, którzy światem rządzicie, i macie od boga sobie powierzoną władzę dla ratowania uciśnionych i prześladowanych. Wy, którzy biorąc władze przyrzekliście zabezpieczyć wolność każdego z waszych poddanych, przywróćcie mi dziś moją, przez

udzielenie mi skutecznej pomocy. Ciebie w szczególności najjaśniejszy Stanisławie Auguście! mój najmiłościwszy królu i panie błagam o pomoc. Was wszystkich zacni spółobywatele, was rodzice, którzy mocą praw przyrodzonych kochacie wasze dzieci! Z tak bezprzykładnem i nieukróconem zuchwalstwem na mojej osobie popełniona zbrodnia, powinna wzbudzić waszą spółlitość o bespieczeństwo własne. Wzywam nakoniec was wszystkich, którzy mi stanem równi jesteście, i którzy litując się mej krzywdy, zechcecie mi podać rękę pomocną. Klęska bowiem narodu jest klęską każdego obywatela, a skrzywdzenie jednego uważać wypada za obrazę równości, że nierzekę, za zupełne jej zniesienie. Niegodziwość przeciw jednemu wymierzona, dosięgnąć może i drugich. Bogdajby ta żałoba nasza o pokrzywdzenie szlacheckiej równości i zuchwałe praw pogwałcenie, stała się powodem do postanowienia sprawiedliwej i najsurowszej kary na sprawców i wykonywaczy tak nieludzkiego czynu, takoweto postanowienie położyłoby tamę najmocniejszą bezprawiom; a bogdajby też przyczyniło się do powrócenia nam stroskanym rodzicom wydartej córki.

Pragnąc oglądać skutek sprawiedliwych moich żądań, protestuję urzędownie niniejszem przeciw wyżspomnianym osobom, które niegdy jw. Franciszkowi Salezemu Potockiemu ręką i radą były pomocne, których imiona i nazwiska nateraz się nie wymieniają, lecz w swoim czasie wymienione będą, a to: o lekceważenie szlacheckiej równości, i jawnego zamiaru jej obalenia, o gwałtowny napad mego domu przez umyślnych na to wysłańców, o najniegodziwsze targnienie się na nasze życie, o pobicie i zranienie szlachetnie urodzonego Trzaskowskiego, i okrutne z naszymi ludźmi obejście się, o rabunek, uwiezienie i ukrycie naszej kochanej córki, tak, że do tej chwili niewiemy czy żyje,*) o niegodziwe i fałszywe oczernienie naszej czci dotąd nieskalanej, i podejmuję się udowodnić to wszystko.

Jakób hrabia Komorowski kasztelan santocki, starosta nowosielski i podlisiecki, ręką własną. Złożył w przygotowanym odpisie, i własną ręką podpisał. (L. S.) Puchała, ręką własną. Czytał Swieżawski.

* Porwana zadusiła się kiedy ją wieźli, bo aby niekrzyczała, zawiązano jej usta; rabusie znalazłszy ją nieżywą rzucili w odnogę Bugu koło Jastrzębicy.
p. w.

II.

Między jaśnie wielmożnymi jmć państwem Jakóbem na Susznie i Niestanicach hrabią z Liptowa i Antoniną z hrabiów z Werbna Pawłowskich Komorowskimi małżonkami; nowosielskimi, podlisieckimi starostami z jednej, a jaśnie wielmożnym jmć panem Stanisławem z złotego Potoka Potockim, starostą bełzkim, jaśnie wielmożnych Franciszka Salezego i Anny obojga z złotego Potoka Potockich wojewodów, jenerałów ziem kijowskich małżonków synem z drugiej strony, staje w niżej opisanych punktach intercyza ślubna. Iż jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wielkich antenatów znamienitemi w ojczyznie zasługami zaszczyconych, pierwszemi honorami wyniesionych potomek domu Potockich przeszło już pięcią wiekami najpierwszemi godnościami wsławionego władzą kilkudziesiąt walecznych najwyższych wodzów zaszczyconego, senatorskich krzeseł więcej

pięciudziesiąt zaszczytem sławnego, pierwszemi ministeriami i urzędów koronnych wielością znakomitego, dziełami rycerskiemi w boju i pokoju, chwalebnemi czynami nieprzerwanie zawsze słynącego, namiestniczą godnością królów w trzech wiceregach wygórowanego, w zagranicznych nadto królestwach wysokiemi honorami znamienitego, dziedzic imienia wielkiego Potockich i krwi przezacnej z pierwszych familij polskich z xiążęcych domów, królewskich tronów i wyniesionych w Europie monarchów, wypływającej i podział mającej sukcesor, a ze wszech miar godnych rodziców jaśnie wielmożnych wojewodów jenerałów ziem kijowskich nieodrodny syn, władnącej sercem i wolą boga wszechmocności oprzeć się niemogąc, przeznaczenie wyroków nieba, ile w zupełnej doskonałości zostając, jawnie poznawając, i nieodmienną determinacią dalszego pożycia swego z przepaścistego boskiego rozrządzenia widoczną mając, wraz i skłonnością serca i rozporządzeniem boskiem wyższem nad wolą ludzką zniewolony do jaśnie wielmożnej jmć panny Gertrudy hrabianki Komorowskiej, starościanki nowosielskiej godnej córki jaśnie wielmożnych jmć państwa Jakóba i Antoniny z Pa-

włowskich hrabiów Komorowskich, starostów nowosielskich, podlisieckich; w tym domu tedy jaśnie wielmożnych hrabiów z Liptowa Komorowskich, niegdyś gniazdowym królestwa węgierskiego i wysoce zaszczyconym, tu od trzechset lat przy przeniesieniu się do królestwa polskiego już senatorskiemi godnościami i różnemi koronnemi urzędami dawniej zaszczyconym, teraz świeżo prymacialną godnością i kilku senatorskiemi krzesłami wygórowanym, skoligaceniem zacnych familij i krwi zacnością znakomitym, dożywotniego przyjaciela szacunek nad wszystko przechodzącego z samejże boskiej ordynacii znajdując i upatrując, któréjto jaśnie wielmożnej Giertrudzie hrabiance Komorowskiej staróściance nowosielskiej nietylko dary natury, to jest zacność imienia, godność krwi od przodków przez rodziców wlana zalecenie dają, ale dary od boga obficie wlane w przymiotach zacnych i rozlicznych talentach jakoby w jedno zebranych dank, szacunek i estymę czynią, a ztąd z wymiaru darów boskich i tak znacznych talentów wysokiemu, jakie ją potyka, postanowieniu z przewidzenia boskiego przeznaczona zostaje, za zrządzeniem więc boskiem idąc jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wszelkie

usilne starania o dożywotnią przyjaźń tejże jaśnie wielmożnej hrabianki Komorowskiej łożyć nieustając; jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowscy, starostowie nowosielscy, rodzice, poważając sobie tak zacność konkurenta, skłonność prawdziwego serca i affektu z obu stron poznawając, oprzeć się nieodstępnemu żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego niemogąc, zagradzać szczęścia od boga przeznaczonego ukochanej córce swojej za niesłuszną rzecz być sądząc, wyrozumiewając oraz już od samych niebios wyroki, poddając wolą swą pod wolą najwyższego, nakłaniając się żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego, w związek i stan małżeński też córkę swoją jaśnie wielmożną jmć pannę Gertrudę hrabiankę Komorowską staróściankę nowosielskę, nieodmiennym słowem deklarują i dzień ślubu poprzysiężenia sobie wiary obopólnie małżeńskiej w dobrach swych Niestanicach dzień dwudziesty ósmy miesiąca grudnia w roku teraźniejszym 1770 naznaczają, na który akt ślubu jaśnie wielmożny starosta bełzki przybyć ma. Po którejto jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej staróściance nowosielskiej, jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowscy rodzice, sto tysięcy złotych polskich w goto-

wiźnie tym czasem wypłacić posagu z dóbr ojczystych i macierzystych naznaczają i deklarują, oprócz wyprawy, która nietylko stanowi i kondycii jaśnie wielmożnej hrabiance przystojna być ma, ale jako w tak zacny dom idącej powiększona zostanie, po długiem zaś da bóg pożyciu obojga jaśnie wielmożnych hrabiów Komorowskich rodziców, równy podział ojczystej i macierzystej substancii między wszystkich sukcesorów nastąpić powinien. Jaśnie wielmożny zaś starosta bełzki z własnej woli i szczerego affektu przyszłej małżonce swej jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej summę*) — — — — — — prostego długu niniejszą zapisuje intercyzą, który zapis moc grodowej tranzakcii mieć ma; oraz dożywocie na wszystkiej substancii tym samym kontraktem ślubnym zeznaje, a po doszłym da bóg związku małżeńskim wspólne dożywocie wzajem sobie przyszli małżonkowie uczynić mają, *jura communicativa*, na wszelkie królewszczyzny z szafunku łask królewskich pozyskiwane jaśnie wielmożny starosta bełzki dla przyszłej małżonki swej wyrabiać obliguje się. Jako zaś wielkiej zacności i charakteru

*) W oryginale tej intercyzy zostawione tu białe miejsce.

jaśnie wielmożny starosta bełzki, tak przyszłej małżonkij swej do żadnych tranzakcij gwałt i pokrzywdzenie prawom jej czyniących pociągać nie będzie i nie ważne zostałyby. Którento kontrakt ślubny czyli intercyzę strona stronie aktami grodu któregokolwiek, którejkolwiek prowincii roborować pozwala i podpisami rąk swych przy użytych i przytomnych przyjaciołach stwierdzają. Działo się w zamku suszeńskim dnia ośmnastego listopada 1770 roku.

DROBNE PISMA

Antoniego Malczewskiego.

PODRÓŻ

na górę białą (Mont-blanc),

opisaną w liście do profesora Picteta*)

Genewa w sierpniu 1818.

Chcesz mieć waćpan opis mojej podróży do Szamuni; ożywiony miłością swego kraju, i śledząc gorliwie wszystko, co tylko może być pożytecznem dla ludzi, ciekawy jesteś szczegółów mojej drogi; ponieważ sądzisz, że i drobne nawet rzeczy niekiedy interesować mogą, powinienem więc zadość uczynić woli jego, i wziąć się do pisania w języku, który nie jest moim rodowitym.

---

*) Tłómaczenie Józefa Rejznera.

Dziwiłem się jak wszyscy wyniosłym górom i roskosznym dolinom ojczyzny waćpana; lecz brzegi genewskiego jeziora nadewszystko mi się podobały, przypatrywałem się z tamtąd lodowatym wierzchołkom gór szamuńskich, i ubolewałem, gdym przy zachodzie słońca nie mógł już ich widzieć, lub gdy obłoki skrywały ich wierzchołki przed moim wzrokiem; nakoniec podczas pięknego jednego wieczora w lipcu, tak mię spaniały widok góry-białej zachwycił, żem postanowił przypatrzeć się jej zbliska. Nie będę opisywał waćpanu podróży mojej z Genewy do Szamuni, sama tylko góra-biała zajmowała moją uwagę, i pałałem niecierpliwością wstąpienia na jej wierzchołek. W *Salenches*, gdziem pierwszą noc przepędził, chciałem zasięgnąć wiadomości, lecz mi ją dano w sposób bardzo niepochlebny mojemu zamiarowi: wystawiano mi nieskończone trudności, powiadano o ogromnych rozpadlinach, które się niewiadomo jakim potworzyły sposobem; wreszcie, że niepodobna już było zbliżyć się do góry-białej, i śmiano się, gdym powiedział, że chcę wyjść na jej wierzchołek. Nazajutrz nowe nieszczęście, niebo się zachmurzyło, i powiadano mi o deszczu w ten sposób, jakoby mię z honorem miał wy-

prowadzić z tak niebespiecznego przedsięwzięcia. Przybyłem więc do Szamuni z niewielką nadzieją osiągnienia celu mojej podróży, lecz przewodnicy umniejszyli mi natychmiast wyobrażenia o tych straszliwych rozpadlinach. Poszliśmy nieco po lodach, lecz wkrótce powiedziano mi o górze stertą południową (*l'aiguille-du-midi*) zwanej, na której nikt jeszcze niebył. Chodziło więc o odkrycie nowej pomiędzy górami doliny, a przynajmniej nowego przechodu; zapomniałem już o górze-białej, a cały pałałem chęcią zwiedzenia tej sterty. Nie chciałem jednak porzucić dla niej góry, która niejako jest wszystkich innych królową, i dla pogodzenia mych chęci, zamierzyłem daleko rozciąglejszą drogę, to jest, przybywszy na stertę-południową, szukać z tamtąd przejścia na górę-białą, a z niej zwyczajną powrócić drogą.

Poszedłem ku stercie-południowej w towarzystwie sześciu przewodników. Przebywszy wąwoz Montanvert i morze lodowe (*Mer-de-glace*) przyszliśmy do Tacul o godzinie siódmej wieczorem. Wiesz waćpan, że ten nocleg nie jest bardzo wygodny: sąto skały otoczone lodami, w bliskości niewielkiego jeziora, które na noc znika. Zimno

było dość wielkie: ciepłomierz Réaumura stał na 1 st. pod zero. Nazbierano prędko rośliny rododendron, która jeszcze rośnie na tych skałach, a naniecony wielki ogień wkrótce ogrzał i rozweselił naszą gromadkę. Po wieczerzy śmieliśmy się i rozmawiali; powiadano mi wiele dziwnych rzeczy o tych górach, nakoniec przewodnicy moi układli się spać około ogniska, a mnie dano wygodniejsze miejsce na jednym, mniej niż inne, ostrym i chropawym kamieniu. Znajdowaliśmy się pod ogromnem urwiskiem skały, która wisiała nad nami, a za najmniejszym powiewem wiatru dym okrywał nam twarze; to widowisko było dla mnie tak nowe, żem nie mógł spokojnie zostawać na miejscu; wdrapałem się na bryłę kamienia niedaleko z tamtąd leżącą. Xiężyc oświecał te pełne skał i lodów pustynie, ale nic oka zabawić, ani umysłu uspokoić niemogło; ludzie spiący naokoło gasnącego już ognia, zdawali się być przychodniami do krainy śmierci, gdzie uledz mieli nieodzownemu losowi, którym wiszące nad głową bryły lodu i śniegu groziły. Zimno nakoniec spędziło mię z miejsca z któregom się przypatrywał. Obudzili się ze snu przewodnicy, naniecono znowu ognia, iresztę nocy spędziliśmy na rozmowie. O godzinie

czwartej rano gotowaliśmy się w dalszą drogę. Ciężkomierz, który wieczorem pokazywał 22 cale i dwie linie, rano spadł nieco; ciepłomierz stał na 4 st. (R.) pod zero; dla bespieczeństwa powiązaliśmy się jedni do drugich powrozami, i poszliśmy dalej. Szliśmy naprzód brzegiem jeziora, które było znikło, widzieliśmy bowiem tylko nagie kamienie, które składały jego łożysko, i przebywszy rozpadliny będące na drodze do góry Col-du-Géant, weszliśmy na płaszczyznę utworzoną ze śniegu. Tam naradzaliśmy się którą drogą pójść nam należało; były przed nami trzy lodowate sterty, które nas na stertę południową wyprowadzić mogły. Sterta po prawej stronie będąca, zdawała się bardzo urwista i rozpadlin pełna, udaliśmy się więc na drugą, której pochyłość podnosiła się dosyć powoli, a umysł mój wyobrażeniami pięknych dolin, któreśmy znaleść mieli, był całkiem zajęty. Lecz same tylko natrafialiśmy przepaści. Znużeni wielkim trudem, i przebywszy dość znaczne niebespieczeństwa, ujrzeliśmy nakoniec południową stertę, i o godzinie czwartej po południu weszliśmy na jej wierzchołek. Góra ta ze strony Szamuni przedstawia dwie skały, przedzielone bryłą ziemi, okrytą śniegiem. Weszliśmy na

niższą z tych skałę, i nawet na bryłę okrytą śniegiem, albowiem druga skała jest niedostępna, i podzielona na wiele ostrych wierzchołków; poznaliśmy nakoniec, że ztąd żadną miarą na górębiałą dostać się niemożna. Widok z tej skały jest bardzo rozległy; widać tu przez grzbiet góry Col-du-Géant wielką część Lombardii, i te piękne Włochy, które dając się widzieć z poza wierzchołków gór lodem pokrytych, zdawały się przypominać roskoszne elizejskie pola, które imaginacia starożytna za smutnemi widziała grobami. Ponieważ bespiecznie aż na zachodnim kraju tej skały stanąć można było, postrzegliśmy z tamtąd przeorstwo szamuńskie, lecz obłok część doliny przed nami zakrywał. Że zaś barometer uległ przypadkowi, niemogliśmy czynić żadnych postrzeżeń, i zaraz o powrocie poczęliśmy zamyślać. Było już poźno, a koniecznie potrzeba było powrócić na noc do Tacul, ponieważ przemokli, znużeni i nietak dobrze byliśmy odziani, żebyśmy noc na śniegu przepędzić mogli. Spuszczając się na powrót, ominęliśmy przykre przeprawy, które nas tyle kosztowały znoju, i wcale inną udaliśmy się stroną, idąc brzegiem stert lodem pokrytych, które nas przedzielały od góry-białej, a o godzinie

dziesiątej dostaliśmy się na nasze kochane skały. Tam zaniechałem wszelkich uwag, i powróciłem szczęśliwie do Szamuni.

Oto więc podróż moja prawie skończona, bo co się tyczy zwiedzenia góry-białej, o której mam mówić, droga moja była prawie taż sama, którą niegdyś przebywał p. de Saussure. W towarzystwie 11 przewodników poszedłem przez górę La-côte zwaną; nocowaliśmy na skałach Grands-mulets, a nazajutrz 4go sierpnia o godzinie pół-dopierwszej wstąpiliśmy na wierzchołek. Barometer stał na 15 cali i 9 linij*) a ciepłomierz 3 st. (R.) pod zero pokazywał. Czas był piękny. Ciekawym będąc, czyli żywość kolorów nie traciła nic w tak wielkiej wysokości, wziąłem był z sobą pryzma. Kazałem w Genewie odmalować jak najdokładniej kolory pryzmatu, lecz żadnej w nich niepostrzegłem różnicy, żywość kolorów była jednostajna. Zostawaliśmy półtory godziny na wierzchołku góry, z której widok był zachwycający, i wyższy nad

*) Mamy powód mniemać, że barometer niebył dobrze oczyszczony z powietrza, ponieważ prawie 4 linie niżej niż barometer Saussura na tejże wyniosłości pokazywał; kiedy barometer na dolinie był wyżej nad średnią swą wysokość.

pojęcie. Świeżość drzew i dolin, śliczne zakręty jeziora mogą przyjemnie zachwycać oczy i umysł; ale zostając pośrodku tego nieporządnego gór tłumu, tych brył olbrzymich i niekształtnych, które z pośród śniegów i lodów widzieć się dają, patrzący mniema się być świadkiem stworzenia rzeczy, kiedy wszystko, cokolwiek ma cechę człowieka, znika, zaledwie postrzegać się dają lekkie miast ślady, które ręka przeznaczenia oznacza do wzniesienia na przyszłość, wszystko zdaje się zapowiadać tę wielką godzinę, i przerażony tą myślą wędrownik skwapliwie schodzi na dół, żeby w ogromie wielkich przemian, które dziać się mają, pochłonionym niezostał. Opuściliśmy więc ten jedyny w świecie widok, i około godziny szóstej wieczorem przybyliśmy do skał Grands-mulets. Radość, którą nas pomyślny skutek wyprawy napełniał, wszystkiemu przyjemną i czarującą nadawała postać, a wejście na górę-białą zdawało się być igraszką, w porównaniu do smutnych i straszliwych przepraw na południową-stertę. Nazajutrz pyszni z powodzenia naszego zeszliśmy na dolinę Szamuni. Znalazłem tam przyjaciela waćpana, kapitana Bazylego Hall, pisarza bardzo ciekawej do Chin podróży, która niedawno na

świat wyszła; ubolewał on bardzo, że niebył w naszem towarzystwie, ponieważ chciał także odwiedzić górę-białą, i wymienił mi wiele ważnych postrzeżeń, które tam czynić zamierzał.

Otoż opisanie podróży przez waćpana żądane. Ciekawość i pochlebna chęć dokonania tych rzeczy, które codzień dopełnić nie można, zaprowadziła mię na wasze góry. Przyjemna ich pamięć, równie jak i zaszczytu poznania się z waćpanem, do którego one powodem mi były, na zawsze mi w umyśle wyrytą zostanie.

POWIASTKI.

IFIGENIA

czyli

skutki niewierności.

Famam extendere factis,
Hoc virtutis opus.
Virgil.

W lubej okolicy nad brzegiem bystrej wody, otoczonej z jednej strony górami, z drugiej najprzyjemniejszym widokiem na rozległe doliny, leżał zamek, którego pozostałe rozwaliny przeszłą wspaniałość okazywały. Tenże był siedliskiem przodków pobożnego starca, żyjącego na szczęścia łonie, w gronie po matce osierociałych córek. Piękne dziewice, każdego oko na siebie ściągały, każdy szczęśliwym się być cenił, oglądając ich powaby. Dobrosław hoży młodzieniec, mieszkający w pobliskiej okolicy, zajęty pięknością Ifige-

nii starszej córki Grzymisława, starał się o jej rękę, a ojciec przyobiecał onemuż po odebraniu tylko zezwolenia ze strony jego rodziców, i jeżeli się to tylko z wolą Ifigenii zgadzać będzie. Dobrosław otrzymawszy od swego ojca zezwolenie; gdy i Ifigenia dała mu słowo, z radości się rozpływał. Lecz wołał go święty obowiązek do obrony kraju, kochankowie odwlekli ślubny związek przysięgając sobie wzajemną wierność. — Dobrosław idzie piersią zasłaniać ojczyznę, bić się mężnie na polach Kirchholmu, powraca w krótkim czasie okryty bliznami i znakami odwagi na łono Ifigenii. Sądząc że z niecierpliwością oczekiwany, niestety! ozięble został przyjętym. O nieba! cożto się stało? dla czegoż Ifigenia mną wzgardziła? nie raz pytał się sam siebie, a widząc niechęć ku niemu malującą się na twarzy Ifigenii, postanowił nazajutrz opuścić zamek. Straciwszy noc bezsennie, przygotował się do odjazdu. Grzymisław widząc żegnającego się z nim Dobrosława, rzecze: »Czegoż tak spiesznie szanowny młodzieńcze opuszczasz moje mieszkanie?» Dobrosław nie mogąc zataić ciężaru serca, opowiedział oziębłość i niewierność Ifigenii.

Nadaremnie starał się ten pobożny starzec nakłonić córkę, nadaremnie wszystko poświęcał, ażeby mu oddała rękę. Dobrosław odjechał pogrążony w żalu. Ifigenia, niewierna Ifigenia z innym w ślubne weszła związki. Dobrosław widząc się być szkaradnie zdradzonym, szukał zemsty, szukał zręcznej okoliczności wypłacenia się za niewierność. Pewnego poranku, skoro się słońce tylko wzbiło do góry, jechał Dobrosław gęstwiną lasu, przez łąki, gaje i spotkał Władysława męża Ifigenii. »Oto! rzekł sam do siebie, wybiła godzina pomszczenia się;» W tej czarnej myśli wita Władysława, a przekładając mu polowanie na dopiero zbiegłego jelenia, w głąb lasu się z nim zapuszcza. Ujrzawszy się sam na sam z Władysławem, wyciąga skrycie zawsze przy sobie noszony puginał i śmiertelną zadaje mu ranę, a widząc go tarzającego się we krwi własnej, zawołał wściekły i donośnym głosem: »Tu Ifigenio masz pamiątkę twojej niewierności!» Sam zaś spieszy do zamku Ifigenii, wpada do jej komnatki a ujrzawszy ją, rzecze: »Spiesz do pobliskiego lasu, niewierna Ifigenio! Tyś zraniła to serce (wskazując na swoje) a ja, twemu przebaczyć nie mogłem! Tam ujrzysz

Władysława już nieżywego!"— „Już nieżywego?" jękła Ifigenia;"— „Tak nieżywego (odpowie Dobrosław) a tyś Ifigenio jego i mojej śmierci przyczyną!" Domawiając te ostatnie słowa, topi żelazo w swojem łonie i ściele się u nóg jeszcze kochającej. Ifigenia ocuciwszy się jak gdyby ze snu, zawoła: „O boże, coż sięto dzieje!" a po kilkakrotnem powtarzaniu przybywa Grzymisław; lecz zoczywszy we krwi zbroczonego Dobrosława a przy nim swoją córkę, domyśla się wszystkiego. Ifigenia przyszedłszy do zmysłów żałuje popełnionej lekkomyślności, błaga ojca o przebaczenie i obiera klasztor na dozgonne pomieszkanie. „Patrz Eulalio! (rzekł do drugiej córki starzec) widzisz twoją siostrę, widzisz Dobrosława? sąto skutki niewierności, sąto skutki zdrady! wystrzegaj się onych, a mając przykład z własnej siostry twojej, bierz za naukę być zawsze cnotliwą." Władysława znaleziono i pogrzebiono z Dobrosławem pod jednym kamieniem, na którym wyryto: *„Tak się niewierność wypłaca."* Eulalia wziąwszy na siebie obowiązek małżeński, była pociechą starca, cnotliwą żoną, matką dla dzieci. Grzymisław żyjąc po tem smutnem zdarzeniu lat siedem, zakończył życie na łonie religii.

Młodzieńce i córki naszego wieku! idźcie przykładem Eulalii, wstępujcie w jej piękne ślady; a brzydźcie się postępkiem Ifigenii, niewiernej Ifigenii!

Atenais.

Atenais córka Leontiasa sławnego filozofa w Atenach, urodzona była w roku 400 po narodzeniu Chrystusa. Ojciec jej łożył wiele starania do ukształcenia wrodzonego talentu córki, która znacznie w naukach postępowała. Co ją przywiodło do Konstantynopola, jakim sposobem na tron wstąpiła? tę nam dzieje zachowały wiadomość.

Cesarz Teodoziusz młodszy, chcąc w ślubne wstępować związki? miał zwyczaj naradzać się często w tym względzie, ze swoją siostrą Pulcherią Augustą. Pulcheria pragnąc uszczęśliwienia brata, przedsięwzięła wybrać z liczby panien pod jej opieką zostających cnotliwą i piękną osobę, któraby zupełnie odpowiadała oczekiwaniu brata.

Teodoziusz mawiał Pulcherii, że go jedynie taka piękność, i taka tylko cnota uszczęśliwić może, której żadna inna wyrównać nie zdoła, i dla tego gotów się nawet z kobietą niskiego stanu ożenić.

W tym właśnie czasie Atenais ozdobiona talentem i wdziękami nadobnej Wenery przybyła do Konstantynopola, a to z następujących powodów. Ojciec jej umierając wyrzekł do niej temi słowy ostatnią swoję wolę: »Atenais, kochana córko, tobie zostawiam tylko sto czerwonych złotych, gdyż twoja piękność, nieporównana cnota i rzadki talent, na najwyższy stopień szczęśliwości wynieść cię mogą.” Piękna widząc się skrzywdzoną, udała się do swoich dwoch braci, którzy cały majątek odziedziczyli, aby za wyrządzoną sobie przez ojca niesprawiedliwość w podziale majątku, chociaż po części wynagrodzić mogli. Lecz serca skamieniałe nie wysłuchały jej prożby; a gdy Atenais coraz bardziej nalegała o oddanie spadającej na siebie części, tak dalece surowo z nią sobie postąpili, że jéj więcej do swojego domu nie dali przystępu.

Nieszczęśliwa Atenais udała się do swej ciotki, ta była jej matką, i ze strony siostrzenicy

podała do sądu skargę, o wyrządzoną krzywdę od braci, i aby zaś sprawie tej nadać zwrot prędszy, stawiła swą prożbę do Pulcherii, malując najżywszemi kolorami niegodziwość braci, a piękność, cnotę i wyniosłe talenta nieszczęśliwej.

Te pochwały uczyniły wielkie wrażenie na xiężniczce, która przekonawszy się o istocie, nie zaniedbała dowiadywać się z ubocznych stron o moralności tej panienki, a zapewniwszy się o jej obyczajności, wzięła ją w grono panien, pod jej opieką zostających i przyrzekła mieć staranie względem wyrządzonej krzywdy.

Pulcheria przekonywając się coraz więcej, że Atenais przewyższa we wszystkiem towarzyszki swoje, że z nabytemi umiejętnościami i pięknością łączyła najdroższy skarb cnoty, nieodwlekała donieść swojemu bratu o tej zacnej panience, której rękę serce jego posiadać jest godne. Teodoziusz widząc spełnione życzenia swoje, rozpływa się z radości, a wierny swemu przedsięwzięciu, pojął piękną Eudoxię.*)

Eudoxia nie zaniedbywała nauki, której się z młodości poświęciła. Wyszczególniała się naj-

* Takie jej dano imię na chrzcie.

więcej w literaturze greckiej i łacińskiej, niemniej w filozoficznych i arytmetycznych umiejętnościach. Opisywała wierszami zwycięztwo Teodoziusza nad Persami, tłómaczyła parafrazy pierwszych ośm xiąg pisma świętego, i historią męczenników Cypriana i Justyna.

Tak używała nieprzerwanego szczęścia aż do roku 445, w którym nieszczęśliwym przypadkiem ściągnęła zazdrość męża na siebie. Cesarz był jej dał jabłko nadzwyczajnej wielkości, ona go posłała Pauliniuszowi, którego dla talentów wielce lubiła. Pauliniusz nie wiedząc zkąd ten podarunek do jego rąk przyszedł, dał go cesarzowi, który wkrótce potem cesarzowę zapytał, co z tym owocem zrobiła? Atenais odpowiedziała, by nie wpaść w podejrzenie, że go zjadła, wtem pokazuje jej Teodoziusz jabłko, przy ujrzeniu którego wpadła w wielkie pomieszanie i odeszła. Ztąd gdy tem większa urosła podejrzliwość, że z Pauliniuszem w ścisłej przyjaźni żyła, wyjechała do Jeruzalem; bawiąc tam lat kilka budowała kościoły i była matką ubogich. Przeprosiwszy się z mężem powróciła do Konstantynopola; po śmierci cesarza odwidziła znowu Palestynę, gdzie roku 460 umarła.

Braciom nie wypłacała się wzajemnością, owszem starała się o ich dobro i wyniosła ich na najwyższe urzędy. Zamiast wyrzucać im srogie postępowanie z siostrą, mawiała jak izraelski Józef do swoich braci: »Gdybyście mnie nie byli przymusili opuścić moją ojczyznę, nie byłabym w Konstantynopolu i niemiałabym sposobności okazać miłości i przywiązania, które ku wam w sercu mem noszę.”

PODRÓŻ.

Julia w szesnastej wiośnie wieku swego była zachwycającą jak bogini miłości, niewinną jak dziecię. Od tego wieku aż do lat czterdziestu stała się igrzyskiem cierpień i miłośnych roskoszy: zaślubiła męża, który ją serdecznie kochał, i wtem owdowiała. W trzydziestym ósmym roku żałobne po nim przywdziała szaty, i tak żyła rok cały; poźniej zaś w cichym smutku; lecz tato pora, na którą się każdy uskarza, a która jednak pocieszycielką wszystkich ludzi, a najszczególniej nieszczęśliwie kochających zostaje, otarła łzy z jej lica Jednakże, mogąli w sercu miłością pałającem wyschnąć na zawsze strumienie łez lubych? Przyzwyczajonemu sercu do czarującego życia, spokojne życie zadość uczynić nie zdoła.

Julia była piękną, pomnażała wdzięki swoje strojem w próżnej nadziei zniewolić serca do siebie; lecz postrzegała to aż nadto jasno, że w każdem sercu nietrwałe tylko uczucia i nieprawdziwą wzbudzała miłość. Mniemała, że w jej wieku uciech jeszcze użyć wolno, jednakże nie w tej pochlebnej nadziei, jakoby miłość wlewać usiłowała, która konieczną Julii zdawała się być żądzą. Niemiły stan swego pożycia postanowiła spomnieniem przeszłości swojej cokolwiek uprzyjemnić; w tym celu przedsięwzięła podróż do K...x dawnej wioski swojego ojca, która po utracie rodziców jej, cudzem stała się dziedzictwem, gdzie najszczęśliwsze godziny miłości upłynęły. Nowi posiadacze tego spaniałego miejsca odjechali; Julia puściła się nazajutrz w przedsięwziętą drogę i z zachodem słońca stanęła na pożądanem miejscu. W lichej i ubogiej przenocowała karczmie, i ze wschodzącą jutrzenką udała się do pięknego ogrodu, który niegdyś należał jej ojcu. Tu pobiegła na brzeg mruczącego strumienia, otoczonego cienistemi drzewy, gdzie po pierwszy raz łudzący głos usłyszała miłości, lecz miasto spaniałych drzew zobaczyła ruiny, a mruczący potok zamienił się w bystrą, szumiącą rzekę. Tu westchnęła głęboko, zwróciła

swe kroki ku kaplicy, gdzie Alfons swą miłość uroczystą stwierdził przysięgą, i na zwaliskach kaplicy stał nagrobek. Serce owdowiałej głęboko przy tym wzruszyło się widoku, łzy cisnęły się do oczu, sama zaś zrywając kwiatki rzucała je na pomnik, i odeszła pogrążona w smutku, do małej doliny, na której w pierwszych dniach swojego zamęzcia szczęśliwe spędzała chwile.

Gdy jeszcze Julia dzieckiem była, mnóstwo drzew cienistych zdobiło tę dolinę, kwiaty oddychały wonią, trawa bujała, a ściśle spojone serca zastanawiały się nad dziełami stwórcy. Teraz zniknęły drzewa, powiędniały kwiaty, a trawę powarzyły słońca promienie. »Ach!» rzekła »to tak powabne miejsce pustynią się stało. Oto jest obraz życia ludzkiego! Gdy czas uczucia miłości zniszczył, gdy w nas najsłodsza obumarła tęsknota, czemże jest natenczas życie nasze?»

Idąc dalej do brzozowego lasku, ujrzała na czterech słupach okrągłą kaplicę, na której te były słowa: »Poświęcona uciechom czetrdziestoletnim.» Julia zbliżyła się, lecz daremnie szukała między obrazami obrazu miłości. »Jeżeli miłość nie łączy się z ukontentowaniem (rzekła), ktoż może poświęcić się radości bez zarumienienia lica swego?»

Długo przedzierała się jeszcze przez gęste krzaki koło strumienia, a nareszcie ocknąwszy się z głębokiego zapomnienia, wyrzekła: »Pójdę wyszukać świątynię miłości, przecież może jeszcze nie zastanę zwalisk.« Wkrótce stanęła na ulubionem miejscu. Ta świątynia stała między różami, wiosniana minęła już pora, już niebyło pączków, róże odkwitły, a liście obleciały. Zbliżywszy się do statui Kupidyna rzucił jej wiatr pod nogi gałąź tarniny, a z bliskiego drzewa spadło jej kilka zwiędłych listków na głowę. Ponuro spojrzała na różane krzaki, i podjęła tarninę, spojrzała i na drzewa z wiosnianej ogołocone ozdoby. »Jakaż nauka!« wyrzekła, »smutne listki! przypadkiem w moje dostaliście się ręce, użyję was. O miłości! wszystko w około twej świątyni oznacza, że wzgardzasz kwiatami jesieni, i gdy czas kwitnący róży upłynie, wtenczas otaczają cię głogi. Bóg cię żegnaj!..«

Julia odeszła spieszno, lecz zatrzymana gałązkami drzew laurowych, między któremi stał kościoł Apolina, zastanowiła się nad ustawiczną ich zielonością i rzekła: »Was jesień nie zatrwoży!« Raptownie zabłysnął w jej sercu promień boskiej nadziei, wbiegła do świątyni, i rzuciwszy się

przed posąg Apolina w te odezwała się słowa: »Boże harmonii! twoim poświęcam się usługom, twe wieńce nie więdnieją nigdy, jak róże jednakowe zostają w każdej porze.«

Złożywszy Julia przed Apolinem przysięgę, opuściła świątynię z pogodną i wesołą twarzą. Powróciła do miejskiego pomieszkania, wierna swemu postanowieniu, wyszczególniała talent pięknemi sztukami, i to tak było jej miłem ukontentowaniem, jakiego jeszcze dotychczas niedoznawała.

WIERSZE.

DO JULII.

Ta róża co tak pięknie listeczki rozwiła,
Której kolor zachwyca, jak niebianów siła,
W której tyle powabów i tyle prostoty,
Obrazem jest twych wdzięków, twej duszy, twej cnoty.
Ona czułą, ktoż tkliwość może ująć tobie?
Ona miłą, ten przymiot jest i w twej osobie,
Ona piękna, łagodna, oraz i nadobna,
Ktoż powie że Julia nie jest jej podobna?
Jako róża rozkwitła w przedziwnej urodzie,
Królowa, wdziękiem swoim ćmi kwiaty w ogrodzie,
Tak Julio nadobna gdy wdzięczysz twe lice,
Wszystkie blaskiem twej twarzy gasisz rówiennice;
Więc choć róża tyle ma wdzięków w swej ozdobie,
Jednak wdzięki swojemi nie wyrówna tobie.

UCINEK.

Do Piotra i Pawła.

Komu zazdrościć Pawle, czyli Piotrze tobie?
Całujesz obraz Chloi, a Piotr ją w osobie;
Chcecie, abym wam szczerze wyjawił me zdanie?
Obydwaj całujecie, ale — malowanie.

Spis przedmiotów.

Drobne pisma.

Powiastki.

Wiersze.

Drukiem u J. P. Sollingera.

Sprostowanie myłek.

Str.	19	*wiersz*	23	przedwio . . .	*popraw*	przedmiot
»	25	»	6	przypisującj wpanu	»	przypisując jwpanu
»	27	»	2	zaeczył	»	zaoczył
»	—	»	11	żyję	»	żyje
»	33	»	1	zdwiwieniem . . .	»	zdziwieniem
»	—	»	6	widoku	»	na widoku
»	—	»	13	sie	»	się
»	40	»	20	Chiał	»	Chciał
»	44	»	19	sie	»	się
»	47	»	5	spojrzenin	»	spojrzeniu
»	—	»	21	szczęsciem . . .	»	szczęściem
»	50	»	1	Swietną	»	Świetną
»	63	»	15	Wię - c	»	Więc
»	67	»	3	do - piero	»	dopiero
»	71	»	14	męcę	»	męce
»	72	»	1	wylega	»	wylęga
»	105	»	12	wicrsz	»	wiersz
»	117	»	20	zan	»	za
»	120	»	2	wu	»	mu
»	121	»	24	bądż dobréj . . .	»	bądź dobrej
»	153	»	12	w te	»	w tej
»	157	»	19	jcj	»	jej
»	158	»	22	któroj	»	której
»	163	»	21	czetrdziestoletnim .	»	czterdziestoletni.